

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 5 (153)
Łódź, 5-II.
1961 r.
cena
1 zł

odgłosy

Telewizor i pocztowy aparat telefoniczny też mogą mieć piękne, nowoczesne kształty. W pierwszym przypadku do minimum ograniczone rozmiary „pu-bli”, dzięki specjalnemu urządzeniu ekran można ustawić pod dowolnym kątem. W drugim — opływowe linie i kolor zmieniły tradycyjnego „ericksona” nie do poznania!

KRZYSZTOF
POGORZELEC

Dla każdego



coś pięknego

Stołeczny „pekin” stał się w tych dniach salonem mody. Nie żartuje — do sal położonych na IV piętrze Pałacu Kultury i Nauki szybko-kobieźna winda dowozi całe „buny” warszawianek, które z noteskami i ołówkami w rękach i z wypiekami na twarzy biegają od

stoiska do stoiska po drodze to i owo kopiując. Działa więc najautentyczniejszy wywiad, tyle że elegancji. Powód dały pierwsze Targi Wzornictwa Przemysłowego. Jest to chyba najdzwaczniejsza impreza handlowa na tej ziemi, co wcale nie znaczy, że jestem jej

przeciwnikiem. Odwrotniej! Pomysł prof. Telakowskiej z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego podechwycy już wspólnie zrealizowany przez Radę Estetyki i Wzornictwa oraz Ministerstwo Handlu. Wewnętrzny bardzo mi się podoba, gdyż — co tu dużo mówić — na pewno jest to doskonała szkoła gustu i jeszcze jedno wino wdana szmirze.

A teraz ad rem. Na stoiskach Targów Wzornictwa Przemysłowego można obejrzeć około 3 tys. modeli odzieży, tkanin, galanterii skórzaną, butów, przedmiotów gospodarstwa domowego, mebli, ozdób, ceramiki, waz, etc. — są tam także projekty: zabawek dla dzieci, lamp pokojowych, telewizorów, radionaparatorów, telefonów. Ba, nie zabrakło nawet modeli kamionów dla samolotów, które wyszły spod ręki polskiego stylisty, a myślę, że nie powstydziłaby się ich sławna włoska firma G. Twórcami tych wszystkich wzorów są nasi plastycy, wytwórcy i pracownicy w prywatnych pracowniach bądź w ramach laboratoriów i komórek badawczych zakładów przemysłowych lub zakładów. Wśród nich nie zabrakło również przedstawicieli Łodzi i tak np. pracownię nazywa Wzrost Szkoły Sztuki Plastycznej prezentują piękne wzory tkanin dekoracyjnych, laboratoria i komórek modelarskie — jeden z przemysłu odzieżowego dzianinowego pończoszniczego, skórzanego —

chwala się pomysłowo i, co chyba najważniejsze, zgodnie z wymogami współczesnej mody.

Nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w analizę wad i zalet przedstawionych na pierwszych Targach Wzornictwa Przemysłowego projektów. Ale...

Jedno jest pewne: jest to impreza wysoce pouczająca, szkoła estetyki i upodobań rokująca poprawę wyglądu odzieży, tkanin, obuwia, które codziennie widzimy na wystawach sklepów bądź po prostu — tego, które ubieramy. Dopiero po wejściu na sale targowe jasno uwidoczniła się kontrast pomiędzy standardowymi wyrobami „made in emhade”, a tym co proponują nam plastycy, a więc pomiędzy tym co jest i tym co może być.

Tak, bo Targi Wzornictwa Przemysłowego są oferta skierowana przede wszystkim pod adresem drobnych wytwórców, których bardzo często nie stać na zaangażowanie własnego plastyka-projektanta, a tym bardziej na urządzenie fabrycznej wzorowni. A przecież blisko 60 proc. wszystkich towarów, które znajdują się na półkach sklepów, pochodzi właśnie z tych drobnych zakładów! Czy przypadkiem to nie jest powód różnych

(Dokończenie na str. 3)

STANISŁAW CZERNIK



BIESIADA W KANTONIE

Kto chce dobrze zjeść i poznać zawile tajniki kuchni chińskiej, niech jedzie do Kantonu. Taka jest opinia. Jest nawet jakiegoś porzekadło chińskie związane z jedzeniem kantonskim, które ma być non plus ultra. Jakże nie uwierzyć! Ale... Jeden z rodaków od dawna mieszkający w Chinach opowiada nieprawdopodobne historie. Powtarza inne porzekadło, które zresztą słyszeliśmy także później od przyjaciół Chińczyków: kantonczycy jedzą wszystko, co lata z wyjątkiem samolotu, i wszystko, co ma noży, prócz stołu. Nie wierzyliśmy rodakowi, sadząc że to forma kpiny z naszego niedoświadczenia w rzeczach chińskich. Jednak nasz uroczy tłumacz i przewodnik, nie związany żadnymi sentymentami z Kantonem, potwierdza informacje rodaka. Do smaczków kantonskich należą potrawy z weża, (który podobno w smaku przypomina węgorza), żabki odmiennie niż po francusku, i — ale to już jest przeszłość, nie należy się obawiać — móżdżek małpki czerpany na ciepło wprost z czerepu zabitego przy stole zwierzątka.

Ogarniały nas wątpliwości. O żabki pewnie niezbyt trudno — widzieliśmy trochę różnych wód stojących. Nie, po co gospodarze straszyliby nas wątpliwą wartością potrawami? Przy okazji gospodarze dadzą wyraz własnemu smakowi, uczą też trochę własne podniebienie, co rzadko się zdarza w tych trudnych czasach. A są to rodowici, zakamieniali kantonczycy, wielcy patrioci lokalni, więc na pewno nie będą stronić od tradycji, przeciwnie — postawia się na głowie, by... By była potrawa z weża i tp? Jasne, nie bładzie przesadzi, ani małostkowi, ocenie po fakcie. Zresztą, przyjęcie zamówione w specjalnej restauracji, daleko stąd, na przeciwnym krańcu miasta. Nie bez powodu.

Tak nastraszeni jedziemy w ulewny deszczu na ów przeciwny kraniec. Sprawdzają się: jakaś wytworna restauracja. Wewnątrz sadzaweczka, fontanna, złote rybki, strumień przepływa przez środek lokalu. Dziś w pierwszym dniu grudnia jest zaledwie dwadzieścia stopni ciepła wieczorem, ale i o tej porze roku — jak się wkrótce okaże — chłodny powiew od wody będzie pożądanym.

Nie były to zachęcające relacje. Mimo pragnień, by najbardziej zbliżyć się do egzotyizmu, w tym zakresie okazywaliśmy wybitne umiarkowanie, a nawet ostrożność. Aż do pewnego momentu. Gospodarze kantonscy urządzili wieczorne posiedzenie. Tego rodzaju przyjęcia odbywają się ze znanym ceremoniałem chińskim. Nie było wątpliwości: czeka nas prezentacja wybitnych dzieł sztuki kulinarnej. Zgoda, ale czy rzeczywiście musi być waż? I weże nie rodza się chyba na kamieniu. Chociaż tyle tu gór, tyle skał w pobliżu,

Dalszy ciąg
na str.
5



Kożuszki, tak piękne, że się ma niewiasty, która by przy nich się nie zatrzymała choćby przez małą chwilę. Ten model kosztuje 2500 zł.



Drugi od prawej — autor reportażu.



JAK ZOSTAĆ MISTRZEM?

„Każdy z was — bez względu na kwalifikacje, zawód, wiek — może zostać mistrzem palety, nie biorąc w dodatku pędzla do ręki!”

To uroczyste hasło ułożyli redaktorzy „Dziennika Świata”. Aby umożliwić każdemu — powtarzamy: każdemu! — zdobycie tytułu mistrza palety wydrukowali oni na jednej ze stron swojego tygodnika kilkanaście różnobarwnych plam i figur geometrycznych.

„Dowcip — pouczają swoich czytelników redaktorzy — polega na tym, aby z tych form utworzyć własną kompozycję. W tym celu należy wyciąć je, nakleić na karton i przesłać do redakcji w terminie dwutygodniowym.”

Wskazawszy metodę, przy pomocy której w terminie dwutygodniowym można zostać mistrzem palety, redaktorzy przy okazji przypominają, że kilka lat temu pierwszą nagrodę w Sztokholmie (w „Salonie Jesiennym”, gdzie swoje prace może — anonimowo — wystawić każdy) otrzymał obraz, który

krytycy ocenili jako pełen uczucia, nieco nerwowo, interesujący w kompozycji i doborze barw, drugą nagrodę — obraz śmiały i pomyślny, trzecią nagrodę — to obraz dyktanta, ale namalowany z talentem.

Autorem pierwszego obrazu — malpa ze sztokholmskiego ZOO, drugiego — pięcioletni chłopiec, trzeciego — Pablo Picasso’.

I tu, wyraziwszy przekonanie, że malarstwo nowoczesne jest błazenadą, i że nie istnieją żadne kryteria, pozwalające na jego ocenę, redaktorzy, przekonani, że przysłużyli się świetnie propagandzie sztuki współczesnej, życzą powodzenia kandydatom na mistrzów palety. Biedni redaktorzy. Nie zdają sobie sprawy, że ich widzenie malarstwa abstrakcyjnego jest identyczne z widzeniem owej paniusi, która, patrząc na płótna Gierowskiego czy Kantora, powiada: „Mój synek też tak potrafi!”

CO KRAJ TO OBYCZAJ

„Kochanek Lady Chatterley”, słynna — a raczej osławiona przez wyroki sądowe, zakazujące jej rozpowszechniania — książka Lawrence’a, została ostatnio dopuszczona do sprzedaży na terenie Wielkiej Brytanii. Sprawa, choć drobna, była wszakże dość głośna, naszą prasę obiegło nawet z tej okazji zdjęcie, przedstawiające londyńczyków, stojących karnie w ogonku przed księgarnią

sprzedającą powieść. Rzecz Lawrence’a nie wszędzie jeszcze jednak zyskała względy celników, a nawet — jak podaje „Przegląd Kulturalny” — „premier Nehru wypowiedział się za utrzymaniem w mocy przepisu celnego (z czasów brytyjskiego panowania kolonialnego) dotyczącego zakazu importu do Indii „Kochanka Lady Chatterley” D. H. Lawrence’a. Dopuszczona do rozpowszechnienia jest natomiast książka Nabokova „Lolita”. Premier Nehru uważa, że nie uchybia ona hinduskiemu kodeksowi moralnemu, ponieważ w Indiach częste są wypadki zamajępcjstwa dziewcząt młodszych nawet od bohaterki Nabokova’.

Wiadomość jest dość zabawna, ale i pouczająca, okazuje się, że licząc sobie latnych kilkadziesiąt lat i mocno już przecież zmurszała powieść nadal może budzić tu i ówdzie zgorszenie. Literatura nie starzeje się więc tak szybko, a niedogodności jady mogą nadal — w sprzyjających okolicznościach — posiadać siłę trującą. Zwracam na to uwagę tym, którzy nie doceniają wpływu literatury na życie, a przede wszystkim pewnemu panu, który ostatnio usiłował przekonać mnie, że „Ulysses” Joyce’a jest dziełem ekskluzywnym, przeto elitarnym, przeto zbędnym prostym ludziom, przeto zaświadczałym o tym, że literatura nie ma wpływu na życie. Zapewniam owego pana, że „Uly-

sses”, będąc dziełem elitarnym, odebrany zostanie w Polsce jako dzieło jadowite i, tak poświadczając wpływ literatury na życie, będzie budził zgorszenie. Właśnie „Ulysses”, a nie książki takie jak „Kochanek Lady Chatterley” czy „Lolita”. Ta pierwsza nie zgorszyła bowiem u nas — w kraju, gdzie nawet trzynastolatki nie rumienią się, czytając „Dzieje grzechu” — nikogo, ta druga zgorszyłaby może zaledwie kilku starszych i dochojących wierności swym małżonkom panów.

POZYCJA TYGODNIA

Pozycja tygodnia jest tym razem bez wątpienia opublikowana w ostatnim numerze „Polityki” dyskusja na temat gospodarki mieszkaniowej, zasad podziału pól mieszkaniowych i trybu ich przyswajania, przeprowadzona między redaktorami tego pisma a pracownikami wydziałów kwaterunkowych z Warszawy, Lublina, Grodziska Maz., i Łodzi. Rzecz, zatytułowana „Kwaterunek i petytenci”, winna zainteresować nie tylko tych, którzy o mieszkaniu starają się lub starają, bo — jak to zwykle bywa w „Polityce” — dołączono do niej mnóstwo interesujących wykazów, informacji i wykresów, mówiących o stanie naszego budownictwa mieszkaniowego i porównujących ten stan z tym, co w tej dziedzinie robi się gdzie indziej.

ERAZM

MINAŁ TYDZIEŃ

Statystyka tygodnia powszedniego

Final pewnej sprawy: Grand-Hotel „Orbis” ogłasza przetarg nieograniczony na wykonanie naprawy dźwigu osobowego...

Temat do rysunkowego dowcipu: ulica jedzie mizernej samochodzik ciągnącej na linie drugi z napisem „pogotowie techniczne”...

Fakty autentyczne. O których czasem wiesz. Czytelniku z gazet, wiadomości radiowych, wiadomości „na ucho” i plotek. O których często nie wiesz, bo przecież nie musisz interesować się sprawami drobnymi, nie dotyczącymi bezpośrednio ciebie. Fakty zwykłe, powszednie, fakty osobliwe — to wszystko co tworzy życie wielkiego organizmu — miasta. Spróbuj razem ze mną przypomnieć sobie tydzień, który minął, tydzień powszedni, nie święty, nie obfitujący w zdarzenia wielkie. Zrób to po to, aby wiedzieć z czego składa się nasz powszedni tydzień. To oczywiście niemożliwe powtórzyć wszystko. Spróbujmy jednak — na wyrywki.

Zajrzyjmy np. do kronik milicyjnych. Codziennie w Łodzi zdarzają się trzy do czterech niebezpiecznych wypadków. Tak było i w tym tygodniu. Mniej więcej 30 razy dziennie milicja jest wzywana do zażegnania awantur, burd i bójek. Tak było i w tym tygodniu. Pomnij sobie, Czytelniku: siedem razy trzydzieści — to już imponująca liczba. Aby udowodnić jak bardzo krewkim jesteśmy narodem powiem Ci, że w styczniu tych bójek i awantur było około 1.300.

Tylko raz w tym tygodniu w izbie wytrzeźwień zanotowano komplet tzn. 43 łóżka zajęte. Przeciętna kształtuje się około liczby 20 pacjentów dziennie. Tak było i w tym tygodniu.

Zakończmy tę niewesołą statystykę, bo nie starczy miejsca na inne wylizania. Nie będziemy oczywiście liczyć pasażerów, których przewoziły tramwaje 26 linii miejskich, ani obiadów zjedzonych w kilkudziesięciu restauracjach, ani tym bardziej ilości małych czarnych wypitych w łódzkich kawiarniach. Nie policzymy też widzów w 30 łódzkich kinach ani w 10 teatrach — zbyt żmudne statystyki. Ale skoro już przy kinach i teatrach jesteśmy zatrzymajmy się jeszcze przy kulturze.

Odbłyło się w tym tygodniu około 30 odczytów na najróżniejsze tematy, wieczorów i spotkań autorskich.

Trzy łódzkie dzienniki i jeden tygodnik (nasz) wydrukowały aż cztery wiersze...

Jeden teatr wystawił premierę: Teatr Nowy „Operę za trzy grosze” Bertholda Brechta.

W kinach największą popularnością cieszyły się dwa niedobre filmy: melodramat sprzed dwudziestu kilku lat („Dama kameliowa”) i najnowsza, ale bardzo nieudana polska komedia („Ostrożnie, yeti”). Przy tych właśnie okazjach najsukceszniej z kasami kin konkurowały jak zwykle sprawne łódzkie kolumny.

Licznie zebrana w Filharmonii publiczności gorącymi brawami dziękowała dawno nie widzianemu Henrykowi Czerwemu za uroczysty program piątkowego i sobotniego koncertu.

Największy niepokój i najliczniejsze plotki w łódzkim

świecie literackim wzbudził (w związku ze zbliżającym się rozdaniem nagród miasta Łodzi) artykuł Jerzego Panasewicza o W. Strzeleckim. Zakończmy te wylizania. Dodaj sobie jeszcze, Czytelniku, niektóre fakty sam. Tak powstanie bardzo niepełna statystyka, która pozwoli ci skonstruować obraz zwykłego, powszedniego tygodnia.

MAREK WAWRZ KIEWICZ



JACEK LEDEN

Bunt na okręcie

Od wielu już dni świat cały śledzi z niesłabnącą uwagą rejs statku flagowego portugalskiej marynarki, „Santa Maria”. „Santa Maria” opuściła jak zwykle porty Południowej Ameryki udając się do Portugalii. Pasażerowie, wśród nich wielu Anglików i Amerykanów, nie przypuszczali nawet, że staną się w czasie tego rejsu świadkami wydarzeń, o których będzie mówił cały świat i które, być może staną się początkiem przemian na Półwyspie Pirenejskim, także na ogromnych obszarach portugalskich kolonii w Afryce i w Azji.

Była noc, kiedy na transatlantyku rozległy się strzały. Kapitan statku padł zabity w swojej kajucie. Kilku innych oficerów zostało rannych. Do uszu większości pasażerów nie dotarły odgłosy strzałów. Dopiero nad ranem podano im do wiadomości, że statek zmienił dowództwo. W nocy 60-osobowa grupa zamachowców pod dowództwem sześćdziesięcioletniego kapitana Henriquesa Galvao świetnie zresztą uzbrojona i przygotowana, przejęła władzę nad statkiem. Kapitan Galvao oświadczył pasażerom: znajdując się na pierwszym wyzwoleńskim skrawku Portugalii. Antyfaszystowski Komitet Uchodźców Portugalskich z siedzibą w Rzymie wezwał światową opinię publiczną do solidarności z powstańcami na „Santa Maria”. Oświadczone, że kapitan Galvao uważany jest za przywódcę Portugaliskiej Armii Wyzwolenia, Bunt na „Santa Maria” traktować należy jako pierwsze antyfaszystowskie wystąpienie w rewolucyjnej walce.

Nad Atlantyką zaczęły się krzyczący radiowo sygnały. W pościg za statkiem ruszyły jednostki amerykańskiej i brytyjskiej marynarki wojennej. Portugalskie okręty wojenne biorące udział w walce.

(Dalszy ciąg na str. 8)

„Obyśmy wspólnie odetchnęli“

GEHENNA

Dwa lata prowadzono (po raz pierwszy w Łodzi) badania naukowe nad problemami alkoholizmu, badano sytuację dzieci alkoholików. Wyniki ogłoszono w czerwcu ub. roku. Ogółem przebadano 200 dzieci, pochodzących ze 112 rodzin alkoholików i leczących się w łódzkich poradniach przeciwalkoholowych. Owe 200 dzieci to zaledwie mała grupa, reprezentująca wieloletnią społeczność nieszczęśliwych, których życie jest smutne i jałowe. Głód, chłód, nędza i nieludzki strach, wstyd, upokorzenia i tzy wypełniają ich dni i noce.

Wypowiedzi matek, nauczycieli i samych dzieci składały się na obraz straszliwej gehenny, która normalnemu człowiekowi wydaje się wręcz nieprawdopodobna.

Te dzieci nie chodzą regularnie do szkoły. Większość z nich po nocach nie śpi. Wybiegają z łóżek, uciekają z mieszkań, stoją na klatkach schodowych w bieliźnie, pędzą aż pod bramy fabryk, czekając na matki wracające z późnej zmiany, czekając, aż pijany awanturnik ułoży się do snu. Nie śpią. Nie ludzki strach, awantury, bicia, tłuczenie sprzętów przeżywają po raz drugi, drżąc z lęku, czy pijany nie obudzi się i nie zacznie maltretować od nowa. Wiele z tych dzieci: blednie nocą na posterunku milicji po ratunek dla matki. Czy można sobie wyobrazić ich przeżycia w tym panicznym biegu? I jak zastaje je ranek?

Część matek nie pozwala iść w tym stanie do szkoły. Inne przestrzegają obowiązku obecności w klasie. Dziecko zasypia na lekcji, lub siedzi osowiałe, myślami nieobecne... Odsyłane do domu nie wszystkie mogą i mają gdzie spać. Śpią na śmietnach, w pustych mieszkaniach, ogóleonych przez pijaków. Nawet poduszki i prześcieradła wyrzuca im „ojcowie” spod głów, żeby sprzedać na wódkę.

Dzieci są niedożywione, jedzą nieregularnie, przeżywiają pokarmy suche) mają niedobór wagi, rozwój fizyczny osłabiony, wzrost niski, cierpią na choroby pę-

cherza (mocne ucięcia bez butów).

80 proc. z owych 200 dzieci (wiek 7—16 lat) przeżywa awantury domowe, 40 proc. z nich jest już bitych i maltretowanych, 50 proc. ucieka nocą z mieszkania, 33 proc. — to pacjenci poradni zdrowia psychicznego, 62,5 proc. jest opóźnionych w nauce. Im wyższa klasa — opóźnienia większe. W sumie opóźnienia wynoszą 227 lat szkolnych (do 31. 12. 59).

Oczywiście nasuwają się różne wnioski: Stwierdzono, że poprawę uzyskać można przez zmianę środowiska, przez polepszenie warunków bytu. I tu dochodzimy do głównej sprawy: jakim sposobem można to osiągnąć?

KOGO IZOLOWAĆ?

Istnieje następująca tendencja (dyskusyjna): trzeba zabierać dzieci z rodzin al-

ZOFIA TARNOWSKA

NIE DZIECI lecz ojców

kołików, powierzać je opiece zakładów opiekuńczych i w izolacji od rodziny i domu, zapewniając spokój psychiczny i środki materialne, wychowywać na prawowitych obywateli Polski Ludowej.

Nie ma wątpliwości co do tego, że dzieci nie mogą pozostać z ojcami alkoholikami. Wyżej opisane badania potwierdzają to. Ale zmiana sytuacji dziecka następuje natychmiast w wypadkach, kiedy ojcowie się leczą.

Tam, gdzie ojcowie leczą się systematycznie co najmniej rok, dzieci odzyskiwały równowagę psychiczną, poprawiali się ich warunki materialne i 94 proc. z owych 200 było promowanymi.

Odejdzie złego ojca od rodziny wpływa korzystnie na atmosferę domu. 6 dzieci tą drogą odzyskało spokój. Sytuacja dziecka, które nie ma ojca, jest lepsza, niż wówczas, kiedy ojciec jest alkoholikiem, nie leczącym się. Tragicznym wyrazem tego są słowa jednego dziecka: „Mam wreszcie spokój potrzebny

do nauki, bo ojciec siedzi w więzieniu...”

A zatem? Wszystko przemawia za tendencją zabierania dzieci z takich domów, od takich ojców?

Nie! Jestem stanowczo temu przeciwna. Zabierać trzeba ojców. Trzeba bowiem pamiętać o kilku niezmiennie ważnych momentach. Po pierwsze, o matkach. 77 proc. kobiet z rodzin alkoholików pracuje. Te matki kochają dzieci i są przez nie kochane. Zapracowane, zgnębione, kosztom snu i własnego odżywiania kupują dzieciom pomoce szkolne, opletają, cerują odzież, dbają, by ich tragedia nie uwieczniła się. Prawda, że nie mają czasu na opiekę nad nimi. Jedną z matek trojga dzieci takie zwierzenia: gdzie ja już z dziećmi nie nocowałam, tam, gdzie psy nie nocowały, tam ja z dziećmi nocowałam... Dzieci zostawione są same sobie. Nie chodzą nawet do świetlic szkolnych, bo za to trzeba płacić. A z czego?

Ale matki potrzebne są dzieciom i dzieci matkom. Stanowią nierozłączną więź

rodzinną. I może to brzmi paradoksalnie: one kochają także swych strasznych ojców. Tam, gdzie ustępuje alkoholizm, wraca miłość.

Po drugie — niemożliwe jest organizowanie domów opieki dla wielu setek dzieci. Niemożliwe z dwóch powodów. Taki, dom, to nie tylko gmach, którego budowa kosztuje wiele milionów złotych. Trzeba pomyśleć także o przygotowaniu kadru opiekuńczo-wychowawczego, zmobilizowaniu środków na ich wynagrodzenie i utrzymanie dzieci, w krótkim czasie nie da się wszystkiego zrobić.

A co zrobimy z ojcami? Przeznaczmy pewien fundusz na zapomogi dla nich i zostawmy w błogie świadomości (lub nieświadomości), że są nietykalni, niekaralni, może nawet potrzebni społeczeństwu i państwu. Będą się nimi dalej opiekować milicjanci i żalaga izby wytrzeźwień, będą maltretować żony i sprawić tysiące kłopotów społeczeństwu. A ustawa antyalkoholowa zostanie pięknym dokumentem

drugiej połowy XX wieku, jako wyraz społecznego i państwowego stosunku do alkoholizmu. Papierowym dokumentem.

RDZEWIEJĄCA BRON

A przecież właśnie ustawa antyalkoholowa jest tym orężem, którego używać powinniśmy na co dzień w walce z pijanstwem. Ona wyraźnie precyzyjnie obowiązek izolowania alkoholików, zagrożających zdrowiu społeczeństwa. Ona nakazuje prowadzić zakłady zamkniętego leczenia alkoholików w tych obiektach.

Właśnie trzy lata temu na łamach „Odgłosów” uzasadniałam konieczność zorganizowania zakładu zamkniętego leczenia dla alkoholików. Wkrótce doczekaliśmy się Glazu. Spełnił swoją rolę. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat coś się tam organizacyjnie zalałowało, powstało szereg zastrzeżeń. Ale to jest tylko kwestia właściwej organizacji, wrócenie mu właściwej roli.

Nowa ustawa rozszerza uprawnia i obowiązuje władz terenowych w zakresie walki z alkoholizmem. Zobowiązuje do przeznaczenia środków finansowych, pochodzących z dopłat do alkoholu na zwalczanie alkoholizmu.

Budujemy więc raczej Glazy, niż domy opieki dla dzieci. Niech alkoholicy pracują w zakładach leczenia przymusowego, niech zarabiają na swoje leczenie, własne utrzymanie i utrzymanie swoich dzieci. Zaczynać trzeba od likwidacji źródła zła, a nie jego skutków. Nie znaczy to, że dziećmi nie trzeba się zająć. Trzeba. Szkoła, komitet rodzicielski, TPD, Liga Kobiet, Komitety Opiekunkowe są w stanie wspólnymi siłami zorganizować patronaty nad dziećmi (i matkami) z rodzin alkoholików. Potrzebna tu pomoc materialna i psycho-pedagogiczna. Rada do spraw wychowania młodzieży, która powstała w ub. roku jeszcze nie została. A ona właśnie, koordynując współpracę instytucji i organizacji, zainteresowanych i pracujących nad młodzieżą, ma tu wielkie pole do popisu.

W mieście, w którym wypija się rocznie miliony litrów alkoholu — w tym mieście, gdzie izba wytrzeźwień ma pełne „obłożenie” — nie ma placówki opiekuńczo-profilaktycznej dla dzieci ze środowisk alkoholików. Dlaczego?



Ekspozycja Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Ogólnie podobają się wzory pięknych tkanin dekoracyjnych. Chociaż... „wyróżnia” łódzkiej mody — p. Grabowska, twierdzi, że pewna ich część jest trochę „zamazana”.



Pani Grażyna Muszyńska z „Mody Polskiej” oraz „trzęsinowy” manekin. Reszta to „dodatki” w postaci letniej sukienki lnianej i kostiumu. Razem — modele, które plastycy proponują przemysłowi lekkiemu.



Wzórów obuwia jest na warszawskich Targach Wzornictwa Przemysłowego dziesiątki. Tylko... czy naszego fotoreportera zainteresowały akurat buty?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

makatek z „jeleniem na rykowisku”, ciężkich butów, marynarek z wypchanymi ramionami, nieśmiertelnych „jodelek”, mebli — olbrzymów „na wysoki połysk” — tudzież innych bubli wypełniających po brzegi wiele magazynów.

Wzory wyrobów przedstawione na Targach Wzornictwa Przemysłowego cechuje ogromna funkcjonalność i lekkość. A więc jeżeli meble, to ich wymiary są dostosowane do wielkości współczesnych mieszkań, ekran telewizora dzięki przemysłowemu urządzeniu daje się ustawiać pod dowolnym kątem, sprzęty w dziecięcym pokoiku, po odpowiednim „zmontowaniu”, mogą z powodzeniem spełniać rolę samochodu lub konia-zabawki, kształt aparatu telefonicznego ma linie opływowe, jest bajecznie kolorowy, a odzież i buty... więcej powiem wam fotograficznie. Ja tylko dodam, że są to śliczne rzeczy!

Napisałem, że Targi Wzornictwa Przemysłowego są najdziwniejszą imprezą handlową pod słońcem. Rzeczywiście. Nie ma na nich miejsca dla kupców — hurtowników, „operujących” tysiącami sztuk odzieży i metrów tkanin. Jeżeli już, to w Warszawie mogą wam sprzedać tylko jeden jedyny wzór efektownego o włoskim kształcie bucika czy wdzianka z dzianiny z powodzeniem za-

stępującego utrapienie mężczyzn — marynarkę. Ceny — od 1.000 do 2.500 zł. Ale w zamian otrzymuje się pełną dokumentację techniczną, rysunki potrzebne do masowego wytwarzania wybranego modelu, analizę zużycia materiałów, kalkulację kosztów, no i prawo wyłączności produkowania właśnie takiego wzoru, jaki się wam spodobał.

Bo na tych targach nie sprzedaje się towarów na paczki „on gros”, rzecz jest delikatna, a cała impreza została pomyślana jako prze-

**DLA
KAŻDEGO
COŚ
PIĘKNEGO**

wodnik dla tych, którzy nie mogą własnymi siłami zdobyć się na eleganckie modele, ewentualnie sprowadzać je ze stolic europejskiej mody. Cóż, nie każdy jest „Telimeną”...

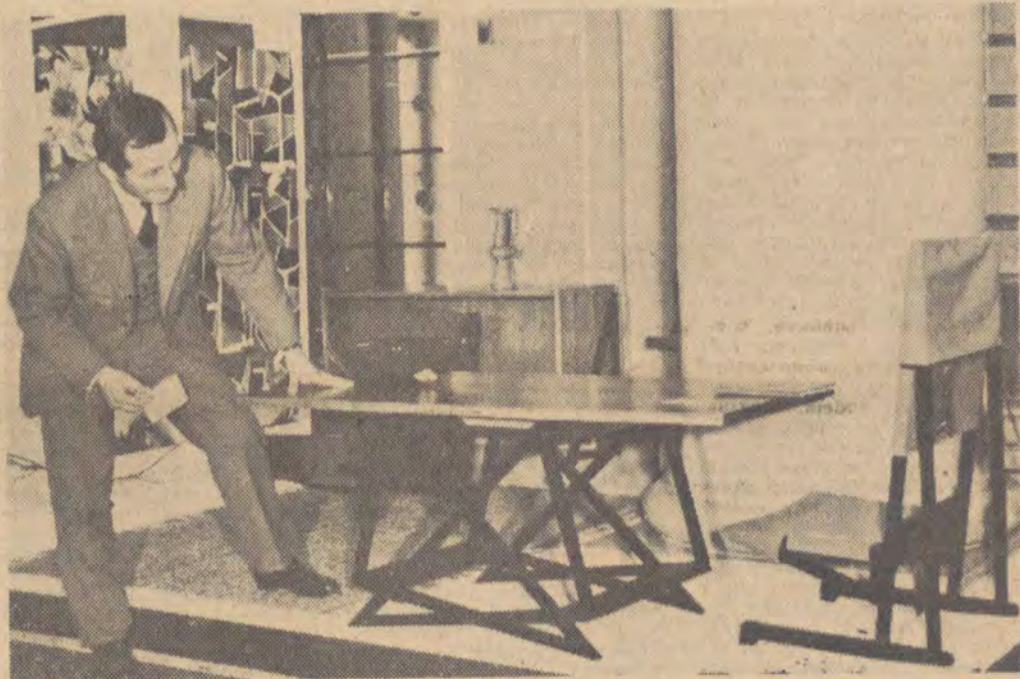
Czy kupią, czy pełnomocnicy różnych przemysło-

wych „mikrusów” skorzystają z tej oferty plastyków?

Mysię, że tak. Bo w tej chwili w grę wchodzi sprawa coraz bardziej zaostrzającej się konkurencji na rynku handlowego „być albo nie być”. Impreza wywołała ogromne zainteresowanie i to nie tylko u nas, ale również wśród sfer przemysłowych krajów demokracji ludowej. Karty wstępu na Targi Wzornictwa Przemysłowego, wcale nie tanie bo po 150 zł, wykupiło już 1.000 zakładów z całej Polski i na pewno spora część ich przedstawicieli nie wyjedzie ze stolicy z pustymi teczkami. Tak np., wiadomo już, że ogromnym zainteresowaniem cieszą się nowoczesne wzory mebli, ubiorów oraz tkanin. Dodajmy do tego bardzo chętny wybieg Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, które na część eksponatów umieściło swoje „wizytówki” — znaki, że na te wyroby gwarantuje zbyt, i chętnie podpisze umowę z zakładem — przyszłym producentem, a będziemy mieli już całość.

Więc?

Na Targach Wzornictwa Przemysłowego każdy może znaleźć dla siebie coś pięknego. Tylko — oczywiście — o ile będzie chciał. Ale to już — jak powiadają — całkiem inna para kalbasy.



Są także meble, wśród nich ten stół jest prawdziwym curiolum: możesz dowolnie zmieniać jego wysokość dostosowując ją do wzrostu biesiadników.

**Tekst: KRZYSZTOF POGORZELEC
Zdjęcia: WITOLD ROZMYŚŁOWICZ**



Kolor także... w łóżku! Plastycy proponują pościel najmodniejsza jest lekko różowa albo niebieska.

O kinie na kółkach

Na dworcu, w ciemnościach słychać porywistego oberka, granego z płyty gramofonowej. Ta „muzyka reklamowa” zwołuje się mieszkańców wioski Kletnia (nie daleko Radomska) na seans filmowy. Staram się i ja choć w części pomóc trzyosobowej ekipie kina ruchomego — ale nie za dobrze mi to wychodzi. Puszczam płyty z „Mazowszem” i lirycznymi piosenkami Sławy Przybylskiej. Echa „Po żegnaniu” i „Czeresniowego sadu” płyną po wsi. W tym czasie w otwartych drzwiach samochodu kierownik kina p. Jan Grabia sprzedaje bilety po 4 zł dla dorosłych i 3 zł dla dzieci i młodzieży.

— Co obejrzą dzisiaj mieszkańcy Kletni?

— Dwa filmy: „Niedokończona opowieść”, oraz „Dr. Corda aresztowany”. Jako dodatek idzie kronika filmowa. Spodziewamy się również, że za kilka dni „podrzucą” nam z Łodzi kilka filmów oświatowych lub dokumentalnych.

Mała salka powoli zapelnia się, ale jest jeszcze sporo miejsca. W sumie przybyło około 30 osób. Na przedzie dziedziarnia, w tyle starsi. Kinooperator Jerzy Kurpiel gasi światło i puszcza w ruch projektor. Z głośnika, który już stoi na właściwym miejscu pod ekranem, rozbrzmiewa gong i znany sygnał Polskiej Kroniki Filmowej. Na ekranie zaś oglądamy... przywitanie Władysława Gomułki powracającego z pamiętnej sesji ONZ w Nowym Jorku. Przypada mi do głowy, że kronika jest trochę za stara, ostatecznie gazetę też można czytać po półtora miesiącu od chwili jej wydania, ale czy kto czyta tak starą gazetę? Czy nie można sędziwej kroniki filmowej trochę odmłodzić w kinach wiejskich i ruchomych?

Po malej przerwie rozpoczyna się film fabularny. Jakość projekcji jest dość dobra — ostry obraz, wyraźny dźwięk. Reakcja publiczności na wsi wydaje się o wiele bardziej bezpośrednia niż w mieście. Słychać przyciśnięte szepoty komentarzy. Widzowie od bierają przede wszystkim akcję filmu, jego warstwę fabularną i ją też przede wszystkim komentują.

Po kilku przerwach, w czasie których następuje zmiana szpuli z kolejnym aktem filmu, na ekranie ukazują się napisy „koniec”. Część widzów wychodzi na papierosa. Przychodzą jeszcze spóźnieni. Z kilkoma widzami na wiazuje rozmowę.

Wszyscy chwalać ekipę kina za sumienność w pracy, za punktualność. Nadmieniam przy tym, że trafiły się poprzednio ekipy, które przyjeżdżały w „pijanym widzie”.



Upoważniono mnie o przekazanie prośby do Wojewódzkiego Zarządu Kin w Łodzi, aby kino ruchome przysyłało częściej przynajmniej dwa razy w miesiącu. Jeden raz to rzeczywiście mało dla mieszkańców nieelektryfikowanej wioski, gdzie nie ma kina wiejskiego stałego, a kino ruchome stanowi podstawową imprezę kulturalną.

— Dlaczego w wiosce nie macie jeszcze światła elektrycznego?

— Od trzech lat ciągną się spory z firmą częstochowską, która podjęła się elektryfikacji. Sprawa znalazła się nawet w sądzie.

Paradoksalna sytuacja wioski, przez którą przechodzi linia elektryczna do sąsiednich osiedli. Czas chyba już, by władze powiatowe w Radomsku, a jeżeli one nie poradzą, to wojewódzkie w Łodzi — sprawę tę wreszcie rozwiązały pozytywnie dla Kletni.

Rozmowa trwałaby o wiele dłużej, ale kończy się przerwą. „Idzie” drugi film.

i innych sprawach

Gaśnie więc żarówka oświetlająca małą salę, znowu ożywa w ciemności mały, prowizoryczny ekran. Po półtorę godzinie ludzie rozchodzą się do mających w ciemności domów. Lekki nocny przymrozek zaczyna szczytać w uszy. Sprzęt kinowy zostaje załadowany do samochodu. Kolacja trzyosobowej załogi — własny prowiant, herbata i mleko od najbliższego gospodarza.

— Gdzie nocujecie?

— W samochodzie mamy trzy łóżka. Latem nawet przyjemnie, gorzej zimą. Boimy się palić w piecyku węglowym, ażeby w nocy nie zaczął się. Spimy więc w śpiworach, rano ledwo można rozprostować kości. Tak jak dzisiaj, pan widział, pracujemy przez 22 dni, dając od 54 do 60 seansów w miesiącu, resztę dni mamy wolne i wracamy do Łodzi. Praca jest czasami dość ciężka, ale przywykliśmy do niej. Daje nam satysfakcję. Ludzie na nas czekają. Wszyscy trzej pracujemy już po pięć lat w kinie ruchomym. Ach, żeby tylko drogi były lepsze! Czekamy na nowy model samochodu-kina, do którego mają być przystosowane nasze polskie „Żuki” — wtrąca szofer kina p. Władysław Stajuda. Obecnie eksploatowane „Lubliny” są za ciężkie, dużo też palą benzyny.

Spoglądam na zegarek. — Odwieziemy pana do Radomska, zdąży pan jeszcze na nocny, pośpieszny pociąg do Łodzi.

Ruszamy. Silnik znowu wyje po płaszczyźnie drogi. Po kilku kilometrach wyjeżdżamy na łódzką autostradę. Jesteśmy wreszcie na sta-

cji w Radomsku. Żegnamy sympatycznych „trampów” z ruchomego kina.

Na stacji przeglądam notatki. Miałem pisać raport o pracy kina ruchomego. Czy wystarczą spostrzeżenia z Kletni?

Kina ruchome. Ile ich było, ile jest? Mały Rocznik Statystyczny 1960 podaje, że kin ruchomych miałyśmy w Polsce w 1949 r. 182, w roku 1955 — 285, w roku 1958 — 315, w roku 1959 — 311. Ogólna ilość seansów filmowych na wsi stale rośnie od 1949 r.: 82.000, 420.000, 498.000, 514.000. Ale dalej liczby sygnalizują dość niebezpieczne zjawisko. Frekwencja widzów wiejskich w odpowiednich latach wynosiła: 1949 — 13.170 tys. widzów, 1955 — 36.479 tys. widzów, 1958 — 34.859 tys. widzów, 1959 — 32.711 tys. widzów. A więc występuje tutaj zjawisko mniejszego zainteresowania się kinem na wsi. Czy rzeczywiście ludzie w wioskach i osiedlach nie chcą oglądać filmów?

Przypominam sobie moje rozmowy w Kletni. Chłopi prosili przecież o filmy, sugerowali nawet gatunki — filmy oświatowe, dokumentalne, animowane. Czyżby i telewizja podobnie jak w mieście zabierała widzów kinom wiejskim? Wniosek chyba zbyt pochopny. Nie wszędzie docierają w tej chwili stacje telewizyjne i nie wszędzie wioski są zelektryfikowane. Porównuję widzów wiejskich i miejskich. Różnice są dość znaczne. Widz wiejski nie zwraca raczej uwagi na problem powstania oglądanego filmu, nie obchodzi go scenarzysta, reżyser, operator, a nawet aktor. Na te czynniki w filmie coraz częściej zwraca

ca uwagę widz w mieście. Na wsi lubi się filmy o żywej akcji, raczej mało skomplikowanej. Dlatego chętniej oglądane są filmy o tematyce wojennej niż dramaty psychologiczne.

A więc sprawa repertuaru?

Repertuar dla kin wiejskich, w tym dla ruchomych tworzy się trochę automatycznie.

Sprawa repertuaru dla wsi winna znaleźć więcej uwagi nie tylko w Wojewódzkim Zarządzie Kin, ale również wśród socjologów. Wojewódzkie Zarządy Kin winny wiedzieć, a nie domyślać się tylko na podstawie relacji swych ekip, co widz wiejski chętniej ogląda i co chce oglądać.

Warto chyba sprawom filmu na wsi więcej poświęcić miejsca nie tylko od strony, składając potrzebnej pracy kina ruchomego nr 15, jednego z 24 działających na terenie woj. łódzkiego. Mamy przecież jeszcze w naszym województwie 37 wiejskich kin stałych, 36 półstałych, jest wreszcie 39 kin w miastach powiatowych i większych skupiskach ludzkich. Stamtąd równie nadchodzi niepokojące wieści o deficycie, spadku frekwencji, o panującym jeszcze prymitywizmie w zakresie techniki, w zakresie reklamy i propagandy. W całym naszym województwie nie ma ani jednego kina panoramicznego, żadne kino nie posiada magnetofonu, ani nawet wygodnych krzeseł.

Zaczęłam o kinie ruchomym, skończyłam na problemie kin wiejskich i prowincjonalnych. Problemie, który należy — podjąć na łamach prasy. Jak najszybciej, i jak najszybciej.

BIESIADA W KANTONIE

(Dokończenie ze str. 1)

— Nihao, nihao — witamy się z polską po chińsku.

— Tsiendoply — odwzajemniają się gospodarze z chińska do polsku.

Śmiesznie zbliżają się języki. Poznałszy chyba z pięć wyrazów chińskich, a wszystkie wypowiadamy nie wątpliwie komiecznie. Jesteśmy zadowoleni, gdy zdołamy wymówić szeleszczące podziękowanie „sie — sie”, a Chińczycy kształszą się przy naszym „tsienkuje”, co sprawia im niekłamną radość. Podobno w tym „kuje” coś przypomina diabła, i w swobodnym przekładzie nasze „dziękuję” staje się chińskim odpowiednikiem „idź do diabła”. Tak przynajmniej twierdził nasz tłumacz, który zresztą jako pekińczyk piątej przez dziesiątę rozumiał po kantonisku, tak wielkie są różnice między północną a południową chińszczyzną.

Dwie połączone salki. W jednej — głównej — kelnerzy przygotowują stół. Tałerzyki, czarki, kieliszki i oczywiście paleczki. Całość obficie ustrojona kwiatami (a wśród nich może ów wąż, co myślom nie daje spokoju). Najpierw siadamy w pierwszej salce przy odrębnym stole. Taki zwyczaj. Krótka wstępna rozmowa. Zaraz podają puszyste chustki namoczone w gorącej wodzie. Wyciera się ręce, a można i twarz. Herbata, niedłóżna przy ceremoniale, papierosy. Wkrótce stół będzie gotów.

Waż nie daję mi spokoju, więc pytam podstępnie: czytrze?

— Podobno kuchnia kantoniska słynie z osobliwości. Mówili nam o tym w Pekinie. Podobno specjałem tutejszym są potrawy z węża. Czy to prawda?

Sekretarz na chwilę zaskoczony pytaniem patrzy przenikliwie na prezesa. Po rozumieli się wzrokiem. Czuję, że poznali się na mej „chytrłości”, odkryli sens zaciekania.

— Proszę nie mieć obawy. Nie będzie węża.

— Szkoda. Nigdy węża nie jadłem. Myślałem, że tu...

Śmiali się serdecznie. Nie dali się sprowokować. Ale ja nabrałem przeświadczenia, że ów wąż nas nie ominie.

Przechodzimy do stołu Stół okrągły. W salce rozdane chryzantemy. Tłum się laszczki kadzidła. Każdy uczestnik otrzymuje bukiet kwiatów.

Przewodniczący proponuje napoje. Tak mało znamy się na chińskich trunkach, że bez dyskusji godzimy się na razie na „siwuchę”. Oczywiście po chińsku nazywa się inaczej, ale w jej nazwie brzmią dźwięki przy pominające polską siwuchę. Najlepiej — według gospodarzy, a moc jej sięga osiemdziesięciu trzech stopni. Zgoda, zwłaszcza, gdy spożywamy się węża, a może i innych osobliwości.

Pierwsza seria — półmisek przystawek, który nas nie trwoży. Znamy już te rozmaitości, z czarnymi jajkami na czele. Te jaja też posiadają legendę. Wersja, jakoby Chińczycy jadali zepsute jaja, dziś już została przezwyjęta. „Czarne jaja” w istocie są niezłym smakołykiem i wymagają określonych zabiegów. Kilka tygodni czy miesięcy powinny leżeć w specjalnej zaprawie (podobno w glince z jakąś domieszką) nim nabiorą pożądanego koloru i smaku.

Należą też do drogiej i poszukiwanych delikatesów. Tym jakkolwiek „łamiemy pierwsze lody”, czerpiąc dalej z bogatego półmiska, na którym ryby, wędlinki, poledwiczki, wątróbki, żółdeczki, kuperki i nie wiadomo co. Gospodarze pomagają przenosić paleczkami wybrane cząstki na nasze talerzyki. Sami z trudnością posługujemy się paleczkami. Znajac ten nasz niedowład, nie zapomniano o widelcach. Próbuje my jeść chińskim sposobem, nie raz jednak musimy pomagać sobie widelcem.

Nalano siwuchy. Pierwszy toast z wezwaniem:

— Gambe — mówią goście.

— Do dna — gospodarze.

Tymczasem podano nowy półmisek. Kacze łapki. Kaczka odgrywa pierwszorzędną rolę w hodowli chińskiego drobiu, ma znaczenie w eksporcie, a kuchni chińskiej nie można sobie wyobrazić bez kaczki. Około kaczki obraca się cały ceremonialny stół, ona stanowi punkt kulminacyjny przyjęcia, od sposobu jej przyrządzenia zależy styl kuchni. Nie dziwiły więc kacze łapki, pocie w małych wachlarzykach, usmażone w brunatnej zaprawie. Wiem już, że nastąpią kacze wątróbki, żółdki, kiszki, dzioby, mózdzek, oczy, wszystko, oprócz piór. Nie chcę ubliżać kaczym łapką, na pewno odznaczają się wdzięcznym smakiem, dla mnie jednak były za twarde.

Oto waza. Coś niby zupa

a nie zupa. Napełniają czarnekę. Próbuje. Jak mech gotowany, jak rzęsa we wrzaku. Co to? Podobno płuka rybne. Możliwe. Zaprzęgałem siwuchy. Właśnie wzniesiono toast. Gambe!

Zielone strączki z zieloną. Nowalijka o tej porze roku jedynie spotykana nad Perłową Rzeką, chwali sekretarz. Rodzaj jadalnej wykładki, przyjemny po rybnym pluckach, po wodce. Jeszcze nie odetchnałem — nowy półmisek. Korzonki bambusa z kura. Nie zachwyciłem się bambusem — za twarde dla mnie, jak kacze łapki, jak wyka. A gdzież ten wąż — niecierpliwie się. Może teraz. Jakies plisowane kawaleczki. Świński żółdek. Nie, nie, wolę odpocząć. Trzeba odetchnąć przy papierosie. Aż znowu wazka. Flaczki, nie flaczki. A to co? Trochę ryby, trochę ośmiornicy. Nie bładymy przesadzi. Niezle, niezle. Prezes uśmiechnięty zachęca, sekretarz uśmiechnięty podsuwa jeszcze trochę. Jakis porozumiewawczy błysk spojrzeń. Zastanawiam się. Podejrzewam. A chociażby, to co? Wcale dobre, wcale. Ale wypijmy, wznoszę toast. I tym razem naprawdę — do dna. Otrzęwiło mnie.

Podobno gołębie jajka i placuszki z maki rakowej. Półmisek brunatnych platków podobnych do cienkich skórek. Co to? Tłumacz się waha:

— Kurze... kurze... to, co kura ma pod ogonem?

Co kura ma pod ogonem? Nie łatwo to uzgodnić, gdy brakuje wyrazu. Nie dowiedziałem się. Przypuszczam, że chodziło o rodzaj flaczek z kurzych kiszek. Niech będzie i to. Lecz znowu twarde, a nie chciałbym powątpiewać w jakość kuchni kantoniskiej.

Po kurzej niespodziance — ryba, ogromne rybko w brunatnym sosie. Tak miękkie, że bez trudu można oddzielać kęsy paleczkami. Podobno nie ma przyjęcia bez takiej ryby. Należy się jej słowo uznania. Jeszcze jeden, drugi półmisek, wreszcie apogeum przyjęcia — kaczka. Podano ją pociętą na kawaleczki, inaczej niż w Pekinie, gdzie stosuje się odrębny ceremonial. Sam kucharz wnosi upieczoną kaczkę w całości i na podręcznym stole publicznie rozbiega ją i kraje na cząsteczki. Podaje się coś w rodzaju naleśników, w które okłada się kawałek mięsa, dodaje cebuli i sosu sojowego. Paleczki nie wystarczają, trzeba pomagać sobie palcami. Można też, zamiast naleśnika, wziąć placuszkę gorącą i napełnić w ten sam sposób mięsem z dodatkami.

Zbliżamy się ku końcowi. Jeszcze miseczka ryżu, tak nieodzowna, jak zupa zamykająca obiad. Chustki wprost z wrzaku do rąk i ust. Wracamy do początkowego punktu — wstępnego stołu. Owoce, kto jeszcze chce. Herbata. Papierosy.

Wychodzimy z mieszanym wrażeniem. Wciąż jak, jedliśmy tego węża, czy nie? Raczej tak, raczej tak.

STANISŁAW CZERNIK



JUBILEUSZE



Halina Maria Dąbrowska —
40 lat pracy pisarskiej.



Kazimierz Bleszyński 50 lat pracy pisarskiej.

Jubileusz? Tak. Halina Maria Dąbrowska ma za sobą 40 lat pracy pisarskiej a Kazimierz Bleszyński 50 lat. Ale jubileusz... wbrew Jubilatom. Dziennikarz kwitujący tę chwilę jest zażenowany. Kazimierz Bleszyński, który obchodzi pięćdziesięciolecie swojej twórczości, dowcipnie odpowiada na list Zarządu Głównego Związku Literatów: „Jestem dopiero po średniku, do kropki daleko, ale po kropce jest jeszcze wielokropek...” Wolno pisarzowi uchylać się od publicznych przedstawień, wolno mu nawet z nich trochę podkpiwać, nie każdy zdobędzie się na to, dziennikarz te chwile musi notować niezależnie od woli czy nie woli jubilat. Oto bieżące prace Kazimierza Bleszyńskiego: w druku (Wydawnictwo Łódzkie) znajduje się tom wspomnień pt. „O mnie i nie o mnie”. W tymże Wydawnictwie pisarz złożył dramat „Szekspir i owce” oraz tom opowiadań „Wywołanie Boga”. Jestem dopiero po średniku, powiada autor wielu prac filozoficznych, również tłumacz („Cyflogia doświadczalna” Labbe’go, „Wstęp do metafizyki” Bergsona, „Logika uczuć” Ribota, „Nędza filozofii” Marksa itd.), autor wielu dramatów. Nie jest zamiarem kronikarza podkreślać, co jest najbardziej ważką częścią literackiego dorobku pisarza, kronikarz, wbrew jubilatowi notuje: „pięćdziesięciolecie”.

Rejestr pozycji książkowych Haliny Marii Dąbrowskiej jest długi. Pierwsze nowele drukowała w „Robotniku” (1918—1922), w „Tygodniku Ilustrowanym” i in. w 1929 ukazuje się tom nowel „Zielony parawan” (wyd. F. Hoesi-ka), w 1932 „Przystań zblakanych”, sztuka eksperymentalna, grana w Warszawie w teatrze „Reduta” Solińskiej (tłumaczona na francuski), w 1934 „Praca i miłość”, powieść, która uległa częściowej konfiskacie, cenzury sanacyjnej (proces wytoczony autorce w 1935 r.), w 37 wychodzą opowiadania „Jej Bóg” (wyd. F. Hoesi-ka, tłumaczone także z angielskiego na hinduski), w 1948 r. „O Karolu Irzykowskim”, szkic biograficzno-krytyczny, w tymże roku drugie wydanie „Pracy i miłości”, Lud. Spółdzielnia Wydawnicza wydała „Tytana pracy”, monograficzne opracowanie twórczości Kraszewskiego. To nie cała lista, znajdują się na niej i rzeczy spalone w wydawnictwach w czasie wojny. Na warsztacie: „Pisarze dwudziestolecia”, powieść współczesna wspomnieniowa „Czarne i białe chwile”.

Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich zorganizował spotkanie z Haliną Marią Dąbrowską i Kazimierzem Bleszyńskim, Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało im nagrody. W imieniu naszych czytelników życzymy dalszych osiągnięć pisarskich.

JERZY WALEŃCZYK

Tożsamość

Właściwie powinienem zapomnieć, że jesteś. Jeżeli stałe cechy masz tylko na względzie, Ty, co swoje nazwisko wypełniasz codziennie. Czas naszym prekursorem, naszym spadkobiercą. Fragmenty swoje oprzyj o zmierzchy bezsenne, Manierom pożyczonym daj własne postacie. Kim ty właściwie jesteś, kim jesteś, powiedz, kim? Zastużonym ciężarem gałęzi się gięły, Człowiek siedział przy oknie. Dzień trwał owoce, Nie podobny, a jednak do niego podobny.

Nie wiesz, od kogo ciemność. Niewidzialnych rąk Przyjalesz dar. Och, źle. Te gesty Do słów zastanuj, świadectwa ułomności, Słabiej wczorajszego nie przestrzegaj ściśle, Chodzą w tobie tłumy. Czeka cię ich śmierć, Ich życie. Nie widzisz we mgie, Ty, wieków dom pod krzykiem ptaków, braci.

Słabości Twoje grają na innych klawiszach, Przeszłość jest wyschłym krzewem, motylem w gablocie I pora zmian niezbędnych obleczone w ciszę.



Ulica Rokicińska

Ulica milczących sklepów,
Kruche grudki zdarzeń
Roztarte i nieobecne.
Pył składów węglowych czola
Zatroskane nam wienczy.
Skorpiony uczuć zgubionych
W skamieniałościach lat.
I wodorosty milczenia
W dewonie płytkich mórz.
Płetwa staje się łapa,
Wielopiętrowe skrzypy
Grzechoczą w podłożach pamięci.
Karbonie naiwności,
Ogrody wzrastania gina
A potem lodowce złudzeń
Spływają na dno, na dno,
Ero jaszczurek seksu,
Zeskoczą ze skały trwania.
Tak pterodaktyl wzrastał
W tamtych czy w moich latach.
Słodka moja dzielnica
Dzwoni dzwonkami szlabanów
Wędrują stała swych szyn.
Serce cierpkiej zieleni,
Jakie okresy przede mną
W agonii jałowe sny.
Trwaj cicho nim tramwaj zadzwoni,
Bym nowe otwierał dzielnice,
Bym nowe otwierał drzwi.



„Przestępstwo” recenzenta Marka Wawrzkiewicza*

„To szczególna rzecz u was, panowie poeci, że zawsze potępiacie sztukę, na które się cały świat tłoczy, a pochwały macie jedynie dla tych których żywy duch nie chce oglądać”. — Moliere.

„W ten sposób skreśliwszy przy pomocy tytułu i motta swój stosunek do ostatecznej” recenzji p. Marka Wawrzkiewicza, „już nieco spokojniej mogę zająć się szeregowaniem powodów, dla których” sprawozdanie pod kryminalnym tytułem „Przestępstwo dewizowe” — „nie powinno się ukazać” w Odrogłosach.

Pan Wawrzkiewicz we wstępie swej recenzji zapowiada, że „zajmie się szeregowaniem powodów, dla których sztuka pod melodramatycznym tytułem „Serce w matni” nie powinna ukazać się na scenie”. Niestety, czytelnik zawiędzie się, bo sprawozdawca nie spełnia swej zapowiedzi; podaje na początek, w sposób uproszczony i zwulgaryzowany fabule sztuki z „dowcipnymi” wstawkami w nawiasie w rodzaju „niecna!” czy też „mama-babsztyl”. Tym sposobem p. Wawrzkiewicz stara się ośmieszyć i wykipić treść sztuki. Jest to zbyt stary i zbyt tani chwyt pisarski, aby nad nim się rozwodzić. W ten sposób bowiem można wykpić fabułę nawet największych arcydzieł scenicznych. Robił to o wiele lepiej i w trochę innym celu nasz Wiech.

Ale, czytamy dalej recenzję p. Wawrzkiewicza; mo że wreszcie znajdziemy te powody, dla których fakt wystawienia „Serce w matni” jest „żałosnym nieporozumieniem”. Czytamy: „Nie sposób odmówić autorowi znajomości rzemiosła, biegłości; trzeba przyznać, że to nie jest dobrze skonstruowane i

nie ma w nim ani jednej dłużyny. Niccoś jest jednak tylko niccością, pozory pozorami, moda na sztuki salonowe minęła wiele lat temu”.

Pragnę podkreślić, że powyższy cytat jest jedynym ustępem krytycznym w omawianym sprawozdaniu, jedynym ustępem motywującym. Czy to, proszę Państwa, nie za mało, tak „nie”, „niccość”, „pozory” —

to są przecież tylko „słowa, słowa, słowa” — jak mawiał Wyspiański.

Poza tym nie rozumiem na jakiej zasadzie p. Wawrzkiewicz zaszukadł sztukę do gatunku „salonowych”? Czyżby dlatego tylko, że akcja rozgrywa się w Ameryce i w domu bogatej starszej pani, którą stać na urządzanie salonu? Przecież akcja sztuki mogłaby się równie dobrze rozgrywać w innym środowisku, prawie wszędzie tam, gdzie egotystyczna miłość matki do dzieci doprowadzić może do konfliktów. Sztuka Howarda nie ma nic wspólnego z intrygą salonową, typową dla tego rodzaju scenicznego. Dziwić się należy, że sprawozdawca teatralny wykazał tego rodzaju brak orientacji.

I dalej: wystawienie sztuki Howarda p. Wawrzkiewicz określa w tytule swej recenzji jako „przestępstwo dewizowe”. Wydaje się, że obowiązkami krytyki przed wysunięciem tego typu zarzutu, jest sprawdzenie faktów. Otóż, wprawdzie po nieważa się, pragnę jednak poinformować recenzenta, że sztuki Howarda nie są sztukami dewizowymi. Teatr więc nie naraził skarbu państwa na stratę cennych dewiz. To zaiste dziwne, że wiele rzeczywiście dewizowych sztuk, które rzeczywiście nie przed stawiają większej wartości artystycznej (jak np. „Kapelusz pełen deszczu” czy „Smak miodu”) wystawiają nasze teatry, a jednak nie padają prokuratorskie oskarżenia „przestępstwo dewizowe”.

Ale p. Wawrzkiewiczowi nie wystarczy rola prokuratora. W zakończeniu swej krytyki ubiera się jeszcze w toż obrońcy, obrońcy praw ak-

tora. Proponuję ustanowienie karty praw aktora, która pomogłaby mu bronić się przed podobnymi rolami”. Strzał w zasadzie słuszny i dość efektywny, ale niestety, w tym wypadku jest przysłówowa „kula w plece”. Wprawdzie nie gram w tej sztuce, byłem jednak naocznym świadkiem, jak koledy aktorzy byli, co nie często się zdarza, zachwyceni powierzonymi im rolami. Na moje pytanie, czy nadal mają tak pochlebne zdanie o swych rolach, odpowiadają bez zastrzeżeń: tak, świetne role! Zastanawiam się więc, czy może są pod wpływem uroku p. Howarda, że nie ulegli autorytetowi p. Wawrzkiewicza. I wydaje mi się, że jeżeli przed czymkolwiek potrzebna jest aktorom obrona, to napewno nie przed podobnymi rolami, a przed podobnymi recenzentami.

Dlaczego jeszcze uważam, że recenzent, a nie teatr — popełnił „przestępstwo”. Wystarczy przeczytać jedno zdanie: „Od razu zastrzegam, że doskonale zdaje sobie sprawę jak, mimo najszerzej chęci, mało mogą Teatrowi zaskodzić”. (podkr. T. S.). To rzeczywiście coś nowego. Krytyk teatralny, który demaskuje swoje tego typu „najszerzej chęci”... Zawsze słyszeliśmy, że nawet najbardziej wystraszony pióro krytyk powinien maczać w atramentie życzliwość i odpowiedzialność za słowo. Zawsze słyszeliśmy, że nawet najsurowsza krytyka wypływa z troski o dobro teatru.

„Stało się”, recenzja została napisana, „teatr będzie żył dalej bez rozgrzeszenia” p. Wawrzkiewicza. —

T. SABARA

*) Odpowiedź na recenzję p. Marka Wawrzkiewicza ze sztuki „Serce w matni” — pt. „Przestępstwo dewizowe w Teatrze Powszechnym” — Odrogłosy Nr 4(152).



Odpowiadamy:

Niestety, Pan Tadeusz Sabara, aktor Teatru Powszechnego, nie zdecydował się na uszeregowanie powodów, dla których sztuka pod melodramatycznym tytułem „Serce w matni” winna była ukazać się na scenie. Uważa co prawda zmurszałą sztukę Howarda — jak wynika z położonych na wstępie listu słów Moliere („panowie poeci... potępiacie sztukę, na które cały świat się tłoczy”) — za rzecz godną najwyższego uznania, list swój zechciał włączyć poświadczyć osobie recenzenta Marka Wawrzkiewicza. Uchylając się od dyskusji nad osobą recenzenta — dyskutowanie osoby recenzenta nie należy bowiem do dobrego tonu — nie chcielibyśmy przecież uchylić się od dyskusji nad sensem wystawienia „Serce w matni”. Być może, chronięcy już stan kryzysu popularności teatru zmusza kierowników artystycznych i literackich do czynienia ustępstw na rzecz dość wątpliwych niekiedy gustów widowni. Być może, tylko wystawiając „Serce w matni” czy „Człowieka z głową” można dziś uzasadnić rację istnienia teatru. Być może, Dzielwie wszakże muszą próby apoteozowania tego typu działalności, próby wynajdywania dla niej usprawiedliwienia artystycznego. Konieczności artystyczne nie mają, o ile nam wiadomo, nie wspólnego z koniecznościami finansowymi. Pan Tadeusz Sabara nie wspomina jednak o tych ostatnich ani jednym słowem. Fakt wystawienia sztuki Howarda nie jest dla niego żalonym nieporozumieniem artystycznym. Aktorzy są przecież zachwyceni powierzonymi im rolami, publiczność wali do teatru drzwiami i oknami. Być może, Tadeusz Sabara ma rację (choć wypada zauważyć, że reakcje aktorów i publiczności świadczą zazwyczaj o aktorach i publiczności, nie o autorze), być może wystawienie „Serce w matni” nie jest żalonym nieporozumieniem. Wydaje nam się przecież, że teatr, wystawiający podobne sztuki, zawiera ze swoim widzem porozumienie dość żalonne.

REDAKCJA

W odległości jakichś trzydziestu kilometrów na północny zachód od Rzymu, tuż za podława miejską Cerveteri rozciąga się pustkowie smutne i bezbarwne. Cienista warstwa gleby na podłożu z wulkanicznego tufu nie sprzyja wegetacji, więc roli się tu nie uprawia. Tylko zabiedzeni pasterze przepędzają chude stada po pagórkach porośniętych niedźną trawą. Tak samo jak przed trzema tysiącami lat.

Sensacja była przeto niesłychana, kiedy któregoś dnia po starych, etruskich jeszcze drogach przemknął ogromny Alfa Romeo i zahamował nagle u podnóża góry Abbatone. Szofer w białej liberii przytrzymał usłownie drzwiczki, z samochodu wysiadł żwawy starszy pan a za nim młodzieniec obłożony dziwnym sprzętem, ni to mierniczym, ni to filmowym. W trójkę ruszyli ostro po zboczach.

Nietrudno było domyślić się, że szukają skarbu. Góry okoliczne to istny „sezam”, do którego już nie jeden próbował się dostać. Ale co znaczy owe niezwykle instrumenty: trójnogi, aparaty pomiarowe, jakieś rury, które przybysze wbijają w skałę?

Jednakże inżynier Lerici wiedział, co czyni. Mediolański finansista i przemysłowiec, współwłaściciel Włoskiego Towarzystwa Stali Nierdzewnych mógł mieć swoje „hobby”, ale nie oddawał się mrzonkom. Był pewny sukcesu, kiedy zakładał „Politecnico” — instytut badań geofizycznych, był pełen nadziei, i teraz. Metody, które pozwalały wykrywać głębokie złoża ropy, tym bardziej skuteczne musiały się okazać w jego badaniach poszukiwawczych. Gdy sobie to uświadomił, wziął urlop i pojechał na południe. Ale przedtem jeszcze powołał do życia Fundację Archeologiczną Lerici.

Bo namiętnością inżyniera była archeologia. A Cerveteri leży na gruzach starożytnego Caere, jednej z dwunastu wspaniałych stolic federacji etruskiej. Zaskle wo wnętrzościach pobliskich pagórków rozciąga się całe, niezmiernie miasto umarłych, miasto z ulicami, placami i sektorami, rozległa nekropolis nie zbadana dotąd nawet w jednej piątą. A w grobach drażnionych w skałe młotem tufu spoczywają bezcenne skarby starożytnej sztuki.

Dla uczonych nie było to oczywiście tajemnica, ale dotychczasowe poszukiwania dawały wyniki mizerne. Groby ubogich nie zawierały nic ciekawego. Groby bogatsze, a łatwiej dostępne, były już od dawna spładowane. Okoliczni pasterze i przygodni rabusie mieli przecież wiele wieków czasu. Należało metr po metr przekopać całe gó-

ry, a na to instytutom archeologicznym nie starczyło pieniędzy.

Wynalazek inżyniera Lerici pozwalał na badania systematyczne a nie kosztowne. Nazwany „Okiem Minosa”, stanowił rodzaj sondy czy też peryskopu, a składał się z rurki miedzianej zakończonej wierzniakiem i lampą błyskową. Sonda taka przebiegała strop grobu i zaglądano do wnętrza, a w razie potrzeby dokonywano zdjęć. Asystent inżyniera Lerici, Franco Brancaloni, elektrotechnik z Politecnico, przebiegał w ciągu kilku tygodni więcej grobów niż wszyscy archeologowie razem w czasie ostatnich 50 lat. Ale rewelacji nie znalazł, groby były

Caere, położone na południowym krańcu Etrurii, było potęgą morską, a nie było nawet miastem portowym. Leżało o kilka mil od brzegu morza, tak nakazywała mieszkańcom ostrożność. Mieszkańcy ci cieszyli się zresztą dobrą sławą, nie zajmowali się korsarstwem. Podnosili to z uznaniem historycy rzymscy.

Bo ksiąg etruskich nie umiemy jeszcze odczytać. Alfabet ich jest znany, tylko język taki jakiś dziwny. I do tej pory nie wiadomo, kim właściwie byli Etruskowie, skąd i kiedy przywędrowali do Italii.

Wierzyli w życie pozagrobowe i obawiali się ponurych skrzydlatych demonów, od



dokładnie obrabowane. Po powrocie Lerici do Mediolanu, pozostał jednak i szepał dalej. Wreszcie szczęście się uśmiechnęło. Znalazł „rzeczy nadzwyczajne”, jak zameldował telefonicznie chlebodawcy. Inżynier przyjechał natychmiast z udoskonalonym modelem peryskopu. Istotnie wyposażenie komory grobowej było zdumiewające bogate. Ściany pokryte były freskami przedstawiającymi zawody lekkoatletyczne — biegaczy, skoczków, i młotaczy — oraz zapasy gladiatorów i wyścigi rydwanów. Później, w czasie rzymskiej olimpiady, freski ten zdołał główne wejście na stadion. Dziwny to był naród Etruskowie. Sportowcy, a jednocześnie wygodnicy i obżartuchy, zapobiegliwi kupcy i doskonali rzemieślnicy, ale również znakomici żołnierze i groźni piraci morscy, którzy napawali strachem serca starożytnych żeglarzy.

nich to późniejsi chrześcijanie wypożyczili wizerunek rogatego diabła. Ale lubowali się w życiu towarzyskim, w ucztach, zabawach i tańcach, a sąsiedzi oskarżali ich o lubieżność i rozpustę.

Te właśnie sceny z ich życia można oglądać na malowidłach i rzeźbach, ale mnóstwo dzieł sztuki użytkowej: wazy, wzorowane na ceramice greckiej, paradna broń, złote naczynia, klejnoty.

Wszystko było tuż tuż a jednocześnie niedostępne. Fundacja Lerici nie miała uprawnień na prowadzenie wykopalisk. Mogła wydawać pieniądze i zaglądać do grobów, ale w razie odkrycia musiała informować oficjalne instytucje. Zawiadomiono więc urząd nadzoru starożytności w Rzymie. W trzy dni później zjawił się konserwator w towarzystwie samego



króla szwedzkiego, wybitnego etruskologa. Niestety, zjawili się za późno. Rabusie zdążyli już wykraść wszystkie doszczętnie. Pomimo postawionych na straży karabinierów.

Złodziej grobów jest wielu. Okoliczni chłopcy, domorośli zbieracze, przygodni złodziejaszkowie. Wiadomo, że kiedy wchodzi bezrobocie lub ustają roboty sezonowe, zaczyna się ruch na cmentarzyskach. Ale wszyscy ci amatorzy skarbu działają niesystematycznie, więcej niszczy niż wynoszą korzyści. Tymczasem tutaj robota była czysta i precyzyjna. Zniknęły wszystkie ruchomości, ale freski i płaskorzeźby pozostały nienaruszone. W ten sposób inżynier Lerici natknął się na osobę Marię, niedoszłego mistrza kolarstwa.

Wyścig dokola Etrurii nie należy do najłatwiejszych, lecz rozpala do czerwoności odziedziczone po przedkach ambicje sportowe mieszkańców. Toteż całe Cerveteri płonęło z dumy, kiedy Mario zapowiedział swoje zwycięstwo. Ojciec z bólem serca wysuwał ostatni grosz na wyścigowy rower, panny wytkwały mu sweter zawodniczy, miejscowy wapieniarz ofiarował parę detek na zmianę.

Niestety, radość była przedwczesna a kompromitacja dotkliwa. Mario dotarł do mety jeden z ostatnich. Widząc z daleka rozświetloną twarz ojca, rzucił rower i uciekł w góry. Obawiał się zmił, których tu wszędzie pełno — jak zwykle w okolicy grobów — przenosił w rozwidlenu samotnego de-

bu, a następnego dnia uwił sobie rodzaj gniazda nakrętego prowizorycznym daszkiem z gałązek.

Pasterze rozbawieni towarzystwem niezwykle anachorety w zawodniczym kostiumie obdarzali go chlebem i serem i tak Mario spędził lato i jesień.

Na zime schronił się w jednym z grobowców. Wystróżył wnętrza komór grobowych etruskich przypomina do złudzenia wnętrza chat chłopskich.

Szperając po grobach, Mario przy świetle pochodni odkrywał coraz to nowe i coraz bogatsze ślady dawnych życia. Ten widmowy świat zaprowadził go i podniecił. W ciągu kilku lat poznał go jak nikt.

Od czasu do czasu znajdował drobne przedmioty, które udawało mu się dobrze spieniężyć. Wkrótce stał się sławny. Stałymi jego klientami byli nawet dyrektorzy muzeów. Zamówieniom nie mógł nastarczyć.

Wtedy zorganizował hande, a raczej nielegalne przedsiębiorstwo eksploatacji zabytków. Wyszukali gronem pomocników, rozdzielili funkcje. Sam objął stanowisko dyrektora naczelnego i kierownika naukowego. To nie żart. Banda Mario pracowała niemiernie fachowo a bardziej wydajnie niż wytrawni archeologowie.

Mario stał się chluba miasteczka. Ożenił się, kupił willę i sportowego Fiata, ale nie silił się na wielkość. Nie porzucił ulubionego a lukratywnego zawodu.

Dla bezpieczeństwa banda pracowała tylko nocami i tyl-

ko w czasie niepogody, kiedy karabinierom nie chciało się lazić na patrole.

Tego dnia ulewa była niesamowita, ale sam sierżant czuwał nad grobem ze skarbami. I nagle usłyszał jakiś szmer we wnętrzu nieodkopanego jeszcze komory.

Przez otwór w sondzie usłyszał głos Marię. Podejrzał, ale sprawa wydawała się wkrótce. Banda dokonała podkopu przez ścianę komór, śledził. Zanim nadeszły posiłki, było już po wszystkim. Mario i jego towarzysze umknęli z tupelem.

O świcie dokonano rewizji w domu Marię. Ale znaleziono go śmiejąc się do ściany. Niczego mu nie można było udowodnić.

Tak zaczął się specyficzny wyścig. W dzień działała fundacja Lerici, w nocy banda. Mario kupił mapę i nosił skrupulatnie każde odkrycia archeologów. Systematyka naukowa nie była mu obca.

W ciągu dwóch lat zbadał 550 grobów. Z tych wartości 150 dostawała się w ręce archeologów, 400 wyszarbował Mario. Obliczono, że zarobił na tym co najmniej 30 milionów lirów.

Po dwóch dalszych latach współzawodnictwa władze skapitulowały. Lerici próbował dogadać się z Mariem i zaangażować go na etatowego pracownika. Znosił się na to, że Mario przystanie. Jako osoba oficjalna, będzie mógł bowiem zostać honorowym prezesem związku kolarzy etruskich, o czym marzył od lat.

Opracował: K. J.

MARIAN PIECHAL



Miecz w ręku szalonego

Obecny niezwykle intensywny rozwój cywilizacji technicznej cieszyby bezwzględnie każdego, gdyby była gwarancją, że adekwatnie czyli odpowiednio progresywnie rozwijały się także rozsądek i rozum ludzki. Ale czy tak jest? Czy koniecznie wraz z postępem cywilizacji odbywa się równocześnie postęp kultury? A jeśli jest przeciwnie czyli że cywilizacja się rozwija, a kultura się cofa i wreszcie będzie tak, że cudowna aparatura techniki znajdzie się we władaniu imbecyla, przy-

miłowa, troglodyty, słowem wystraszony miecz w rękach szalonego?

Bomba atomowa nie jest groźna dopóki panują nad nią ludzie rozsądni, ale gdy przechwycą ją ludzie szaleni? A gdzie gwarancja, że nie przechwycą? Przecież głupich nie śleją, a wszędzie ich pełno, zaś mądrzy nie rodzą się na kamieniu. Zastanawiam się nad tym wy wszyscy, którzy zachłystem bezkrytycznego entuzjazmu w „a.k. beztrósko każdy nowy wynalazek techniczny. Nie każdy zasługuje na apro-

bację. Na przykład wynalazek bomby atomowej i w ogóle broni nuklearnej. Co do mnie stanowczo jestem przeciw takim wyczynom techniki i staję w tym względzie zdecydowanie w szeregu opozycji, choćby mnie miano obrzucić przewrotnością oportunisty, konserwatysty czy nawet wsteczniaka. Już ja wolę jeszcze te kilkadziesiąt lat życia jeździć do Warszawy w ciągu 2 godzin, ale pewnie, pociągami elektrycznymi, niż w ciągu 2 minut, ale niepewnie, wehikułem o napędzie atomowym.

O tym, że cudowne wynalazki techniki mogą się znaleźć w rękach troglodytów i cel ich z założenia dobroczynny może być obrócony na użytek zbrodni, przekonaliśmy nas dostatecznie ostatnią wojną. Przeczytałem więc „Młot” Adenauera, przekład z francuskiego E. N. Dzeleby „Młot Adenauera” i wznowiony przekład

z angielskiego E. Crankshawa „Gestapo — narzędzie tyranii” — obie wydane przez „Książkę i Wiedzę”. I w jednej i drugiej książce uderza jedno: rozpaczliwy wysiłek zarówno Hitlera jak i Adenauera o podchwycenie najnowszych zdobyczy techniki w świecie i obrócenie ich na użytek uzbrojenia. Stąd w budżetach ich rządów największe pozycje, to sumy wydawkowane na akcje szpiegowskie i na maksymalny rozwój techniki.

To tak ładnie — ba! — nawet wzniosło brzmi: „maksymalny rozwój techniki”. Ale nie dajmy się złudzić. Hitler też liczył na ludzką naiwność i wrodzony człowiekowi kult wynalazku, racjonalizacji, postępu technicznego. Tylko, że on to rozumiał, jako dodatek do swych zbrodniczych celów, do machiny wojennej. Wiadomo, jak bardzo po szeregu

druzgocących porażek pod koniec wojny Hitler liczył na „cudowny wynalazek nowej broni”, który miał odwrócić nieuchronnie zbliżającą się ku Niemcom klęskę. Pamiętam, kiedy jesienią 1943 roku znalazłem się we Lwowie, jak Goebbels przez megafon na Walech Hetmańskich wykrzykiwał pod adresem Anglii, że jeżeli nie skapituje, to niebawem Niemcy zastosują wobec niej taki nowy środek techniczny, od którego drzewa na wyspach brytyjskich rosnąć będą do góry korzeniami. Podobnie jak Goebbels Adenauer wierzy w broń atomową, jako jedyny środek rozstrzygnięcia sporów międzynarodowych i jedyną gwarancję dalszego istnienia Niemiec. Wmawia to swym nieszczęsnym rodakom przy każdej okazji. W „Młocie Adenauera” mamy wiele cytatów z jego przemówień w tym względzie.

Zawsze w nich podkreśla, że „Bundeswehra musi być wyposażona w najlepszą broń atomową”. A więc nie wystarczy już zwykła broń atomowa, ale koniecznie musi być „najlepsza”, no bo „Deutschland über alles” i „Gott mit uns”.

Ala rozumienie „techniki” u Hitlera jak i u Adenauera nie ogranicza się jedynie do „najlepszej broni atomowej”. Na rozprawie sądowej w Norymberdze hitlerowski minister uzbrojenia, Albert Speer, ujawnił inne jeszcze sposoby perfidnego wykorzystania najnowszych zdobyczy technicznych przez

(Dokończenie na str. 8)

MELPOMENA

fraszobliwa

Stanisław Kaszyński



Wnoszę ten projekt — projekt utworzenia w Łodzi Muzeum Teatralnego — na ręce wszystkich miłośników łódzkiego teatru. Wydaje mi się, że nie należy daleko zwlekać i trzeba z punktu sprawy przedyskutować, znaleźć środki i fachowo zabrać się do realizacji.

O potrzebie powoływania do życia tego rodzaju instytucji nie warto i pisać. Skoro gromadzi się pilnie ludowe stroje i pieśni, z mozołem rekonstruuje znaleziska archeologiczne i przechowuje dokumenty walk rewolucyjnych, to chyba warto też

pomyśleć o ocaleniu od zapomnienia tradycji teatralnych. Sztuka to ulotna i nieuchwytna, chociaż tak głęboko osadzająca się w pamięci i wyobraźni ludzkiej, i całe szczęście, że coś z jej motylego żywota da się uratować i przekazać wnukom. Bo czas pracuje tu przeciwko nam. A tymczasem w Łodzi, o ile się orientuję, nie za wiele myśli się o tym, jak przechować dzieła ludzi teatru. Co prawda, na warsztacie miejscowych badaczy znajduje się kilka zagadnień z dziejów łódzkiego teatru. Ale to zaledwie po-

czątek. A warto chyba rozpatrzyć, co robia w tej dziedzinie nasze teatry. Poza wyjątkiem Teatru Nowego, gdzie oddawna przygotowuje się pieczołowicie materiały dla przyszłego historyka sceny, inne placówki odkładają ten trud ad calendas graecas. Jednakże nawet wzorowe archiwalia w poszczególnych teatrach, nie zastąpią Muzeum Teatralnego. Po prostu dlatego, że gromadzą dokumenty współczesne i to zazwyczaj odnoszące się do ich własnej historii. Zresztą jakżeby mogło być inaczej? Kto będzie

zbierał dane do historii „konkurencyjnego” teatru? Bądźmy realistami, proszę państwa. A i z tymi dokumentami z ostatnich lat nie jest aż tak wesoło. Mieszkani w blokach temu, kto znajdzie dziś afisze z okresu dyr. M. Stawskiego (1945), teatryku „Gong” albo ze świetnych czasów Leona Schillera. No cóż, nikt się tym nigdy nie martwił i nadal nikt sobie tym głowy nie łamie. Czy np. zacna i miła sercu Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego zbiera jakieś teatralia? A Biblioteka Uniwersytecka? Proszę sprawdzić na miejscu. Dowcip polega na tym, że nasi bibliotekarze rozumieją potrzebę kompletowania roczników czasopism, ale żaden z tych dobrych ludzi nie wpadł jeszcze na pomysł zbierania afiszy, programów i fotografii teatralnych. A na kulturę narodu, czy miasta składa się przecież nie tylko dorobek dnia dzisiejszego. Siega ona przeszłości i zawsze warto poznać jej korzenie.

Jedynę wyjątkową z tego bagażu widzę w zorganizowaniu łódzkiego Muzeum Teatralnego, które, używając stendhałowskiej metafory, będzie zwierciadłem łódz-

kich ścieżek Melpomeny, dawnych i obecnych.

Doprawdy, jest się czym pochwalić, a ściślej mówiąc, jest co pokazać ludziom z Łódki i wszystkim innym. Swoją drogą przypominając metodą wrywkową. Jeśli to już znacie, to... przeczytajcie. Występował w tym mieście wielki aktor murzyński, I. Aldridge — tu nawet leży na cmentarzu. Przez szereg lat prowadził tu solidny teatr Aleksander Zelwerowicz. Niezapomniany Leon Schiller realizował na łódzkich deskach swoje urzekające wizje sceniczne. O Stefanie Jaraczu, wie dziś nie tylko inteligent. Ale czy kto pokusił się o nakreślenie łódzkich dziejów tego wspaniałego artysty? Te opowieści można ciągnąć w nieskończoność: kto pomyślał o monografii łódzkiej Sceny Robotniczej z lat dwudziestych, której współorganizatorem był poeta Witold Wandurski? W okresie międzywojennego dwudziestolecia pięknie owocował teatr robotniczy, m. in. przy zakładach Geyera, prowadzony przez Józefa Piłarskiego, człowieka niezmiernie zasłużonego dla kultury teatralnej naszego miasta, dziś nieomal symbolu służby teatralnej Łodzi.

Ale czy Łódzkie Wydawnictwo zwróciło się do Pana Józefa o napisanie jakichś pamiętników, powiedzmy p. „Teatr pod dymami”? A la ta tuż powojenne? Adolf Rudnicki napisał pięknie, że wtedy nad Łodzią świeciły gwiazdy. To już niedawne dzieje, więc obejdzie się bez wspominków. To są zaledwie świetliste punkty szlaku teatralnego, który gubi się gdzieś w połowie ub. wieku, w epoce wędrujących kompanii teatralnych i turkoczących wózków Trespisa z głodującymi aktorami. Ich też trzeba przywrócić ciepłej pamięci, bo oni zaczęli uterałniać robotniczo-weberską Łódź.

Czy znajdują się środki na ten cel? No, tego to ja już nie wiem. Ale niechże ojcowie miłościwi miasta Łodzi spojrzeć łaskawym okiem raczą na tę służkę pocztowych ludzi, Melpomenę fraszobliwą, a z mieszka złotym polskim wychować pozwolą.



Bunt na okręcie

(Dokończenie ze str. 2)

dział w pościgu otrzymały rozkaz zajęcia statku za wszelką cenę. Salazar — dyktator Portugalii oświadczył: nawet zatopić, oczywiście po wysadzeniu pasażerów. Do pościgu przylączył się również krążownik hiszpańskiej marynarki wojennej stacjonowany na Wyspach Kanaryjskich.

Kiedy piszę te słowa (30. I.) poć jeszcze trwa „Santa Maria” zmierzająca ku brzegom Brazylii z niewielką szybkością śledzimy mil morskich na godzinę. Nie wiadomo, czy tak mała szybkość jest wynikiem defektów czy też sciągana „Santa Maria” woli pozostać w styczności z jednostkami amerykańskiej marynarki wojennej, z dowódcą twem których prowadzone są rokowania na temat wysadzenia pasażerów.

Przyjemnie jest pisać o buncie na „Santa Maria”. Z wydarzeń na tym statku powiało jakimś romantyzmem, jakimś XIX-wiecznym bohaterstwem grupy bojowników zdecydowanych na wszystko. Bez względu na dalszy rozwój wydarzeń, bunt na „Santa Marii” rzucił ostre światło na to, co dzieje się w odciepu od świata Portugalii.

Od 34 lat rządzi w tym kraju Salazar — dyktator, którego wzorem jest Mussolini. Wojsko, tajna policja, reakcyjny kler to filary reżimu, który przyniósł Portugalii nędzę i krwawy terror. Dochód narodowy na głowę mieszkańca w tym kraju wynosi 155 dolarów. Według danych Komitetu Antyfaszystowskiego, Salazar

złaził już 50 tysięcy swoich przeciwników politycznych.

Ustrój faszystowski nie przeszkodził jednak w przyjęciu Portugalii do Paktu Atlantycznego, w tym pakcie Salazar był pożądanym partnerem.

Prasa burżuazyjna próbuje od czasu do czasu tłumaczyć to, co się dzieje w Portugalii, rzekomo poprawą sytuacji ekonomicznej. Jak wygłąda ta poprawa widać z relacji londyńskiego „Timesa”. „Pewna znajoma Portugalka — pisze angielski dziennikarz — powiedziała mi, „Jeden z moich robotników kupuje obecnie nawet masło”. Autor reportażu stwierdza następnie: „ciekawym doświadczeniem jest, zasiąść z chłopem przy butelce wina, wysłuchać jego narzekania i przyglądać się jak stopniowo opadać zaczyna filozoficzna pogoda, spoza której wзира oblicze ukrytego, rozdrażnionego tygrysa”.

To właśnie oblicze, gniew i gotowość do walki ujrzeli świat cały dzięki buntowi na „Santa Maria”.

Skuta nędzą i terrorem Portugalii jest w tej chwili trzecim co do wielkości mocarstwem kolonialnym. Angolia, Gwinea Portugalska, Mozambik, Wyspy Zielonego Przylądka — w Afryce, Goa, Timor, Macau, — w Azji. Oto najważniejsze pozycje kolonialne tego państwa.

Są to kolonie odcięte od świata. Panuje tam terror i niewolnictwo. Ludność niektórych kolonii zmniejsza się. Miejscowa ludność, prócz garstki zdrajców, którzy przyjęli obywatelstwo portugalskie, jest całkowicie odcięta nie tylko od możliwości prowadzenia politycznej działalności ale również od oświaty i cywilizacji. Liczba 98 proc. analfabetów w Angoli nie wymaga chyba dodatkowych komentarzy. Tak jak i druga liczba — 60 proc. osadzonych w obozach pracy umiera tam w ciągu pięcioletniego pobytu.

Na wiew wolności, który dociera od wolnych już krajów Afryki rządy Salazara odpowiadają jeszcze większym terrorem.

Rząd Portugalii żąda od swych zachodnich sojuszników potraktowania kapitana Galvao i jego towarzyszy jak piratów będących poza prawem. Czyn ich zdobył sobie jednak tak wielką popularność, że nawet rządy Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii wykazują wahania. Jeżeli kpt Galvao i jego towarzysze są piratami, to wszyscy ludzie kochający wolność na świecie, powinni wznieść okrzyk: „Niech żyje piractwo!”

Miecz w ręku szalonego

(Dokończenie ze str. 7)

podstępnych gangsterów międzynarodowych: „Dyktatura Hitlera — mówił z udaną skruchą — w jednym zasadniczym punkcie różniła się od wszystkich poprzednich w historii. Była to w obecnej epoce nowoczesnego rozwoju technicznego pierwsza dyktatura, która całkowicie zastąpiła wszystkie możliwości techniki dla opóźnienia swego kraju. Przy pomocy takich środków technicznych jak radio i głośnik osiemdziesięciu milionom ludzi odebrano niezależną myśl. To umożliwiło podporządkowanie ich woli jednemu człowiekowi. Dawniejsi dyktatorzy potrzebowali wysoko wykwalifikowanych pomocników, nawet na najniższych szczeblach hierarchii, ludzi którzy mogli myśleć i działać samodzielnie. Totalitarny system w epoce nowoczesnego rozwoju techniki może się obyć bez takich ludzi — dzięki nowoczesnym środkom oddziaływania możliwe jest zmniejszenie poziomu niższych przywódców. W wyniku pojawił się nowy gatunek — bezkrytyczny odbiorca rozkazów”.

Adenauer od Hitlera bogatszy jest o jeszcze jeden, prócz broni nuklearnej, środek techniczny: telewizję. Oczywiście telewizja jest wynalazkiem błogosławionym w rękach ludzi dobrej woli, ale w rękach rewizjonistów niemieckich na pewno służy złej sprawie.

Jaki stąd wniosek dla nas? Że musimy się nie dać na polu techniki — to znaczy musimy nie dać się wyprzedzić w wysiłku opanowania najnowszych zdobyczy techniki, gdyż tylko w naszych rękach grają one rolę czynnika postępu i dobra cywilizacyjnego. Musimy nie dopuścić, aby tak obosieczny miecz, jakim jest nowoczesna technika i jej niezwykły rozwój, znalazł się w rękach szalonego. Musimy mu pod groźbą ogólnej zagłady wytrącić z rąk ten miecz. Inaczej — na dwoje babka wróżyła czyli uratować nas może tylko cud. A wiadomo, że cudów poza techniką nie ma.



Dziś występy iluzjonistów oglądamy raczej bez specjalnego dreszczyku, mimo iż nieraz wydaje nam się, że oto jesteśmy świadkami działania sił tajemnych, sił nie z tego świata. Dziś jeśli nawet zdumiewa nas fakt wyciągnięcia z pustego cylindra — żywego królika — nie posadzamy przecież iluzjonistów o paktowanie z diabłem.

Ks. Chmielewski pisał, że istnieją ludzie, którzy „cale negują, aby czarnoksiężstwa i czary miały się znajdować, a co więcej niektórzy twierdzą, że całe i czartów nie ma...”

Tak, tak tacy to odważni sceptycy żyli w 18 wieku. Nawet w istnienie diabła odważano się wątpić. Trzeba przyznać, że pod tym względem wiek XX specjalnie nie ma się czym chlubić.

Ale wróćmy do czasów tzw. zamierzonych. Poprzednicy dzisiejszych iluzjonistów nie mieli łatwego życia. A poprzednicy to wszelcy „matarze, wróżdzy, cygany, guślarze, astrologi, prorocy, medycy, lekownicy, czarownicy, zaklinacze, nawęzacz, czaro-guślarze, plakopraniacy, sennika, badacze etc.”

Biskup Żalski wołał przecież, że trzeba „karać i karać tych wszystkich, którzy wróżą przez powietrze, przez wodę, przez ziemię, przez ogień, przez przypływanie się na paznokcie

i tych, którzy przedają pierścionki lub inne rzeczy dla czarów służące...”

Chociaż... ofiarą padali zazwyczaj ubodzy zielarze, guślarze wędrowni i inna biedota ówczesna.

Natomiast na dworach magnackich i królewskich kwitły takie „nauki” jak astrologia, alchemia, magia itp. Pod opieką możnych uprawiano „tajemne sztuczki” na potęgę.

Wiadomo, przecież powszechnie, że królowa Bona trudniła się zabobonnymi praktykami. Król Zygmunt August po śmierci Barbary Radziwiłłówny organizował spektakle, na których potężny a znany czarnoksiężnik Twardowski „wy-czarowywał” monarsze powstać zmarłej żony. „Wyczarowywał” zresztą w sposób nadzwyczaj prosty za pomocą tzw. latarni magicznej czyli prototypu dzisiejszego epidiaskopu.

W roku 1889 wydano w Krakowie książeczkę noszącą nie budzący wątpliwości tytuł „Czary na dworze Batorego”. Tak, tak i ten znany z trzeźwości król — szukał pomocy w „czarnej magii”...

Czyż zresztą można się temu dziwić? Wszak był to słynny z ciemnoty i zabobonów wiek piętnasty. Górnicki pisze w swoim „Dworzaninie”, że zupełnie

jawnie i legalnie uczono czarnoksiężstwa w krakowskich szkołach. Pomoć nawet, sam Faust uzupełniał swą czarnoksiężską wiedzę w Krakowie.

Wszystko to razem wzięte jest trochę zwariowane i trudne do pojęcia. Z jednej strony dostojnicy kościoła opłacali różnego rodzaju magów i czarnoksiężników (np. kanonik krakowski Miechowita) — z drugiej zaś walczono z nimi. Synody z lat 1446 i 1607 zabraniały duchownym czytać i posiadać dzieła astrologów i czarnoksiężników. Ba, nakładały nawet na niesfornych ciężkie pokuty.

No cóż, powiecie, w wieku 16 czy 17 wierzono w „czarną magię”, kamień filozoficzny, siły tajemne itp. — i zważywszy poziom ówczesnej nauki nie jest to nic specjalnie zaskakującego. A jednak... Julian Tuwim w swoich „Wypisach czarnoksiężskich” przedrukowuje artykuł z krakowskiego dziennika „Naprzód” z roku... 1920. „Naprzód” pisał: „Od kilku dni krąży po mieście sensacyjne wieści, że w klinice ginekologicznej 10-letnia Izraelitka urodziła diabełka z rogami, kopytami i ogonem. Wczoraj od rana już poczęły gromadzić się tłumy publiczności (...) żądając wpuszczenia ich do wnętrza celu oglądnięcia diabła (...). Gdy im odmówiono i perswadowano, że to nieprawda w tłumie gruchnęła wieść, że dyrektor szpitala wziął łapówkę od rodziny matki diabła, ażeby zatuszować skandal rodzinny (...). Długo przedkładano kobietom, mężczyznom i dzieciom, że w XX wieku diabeł się nie rodzi (...). Mimo rozpędzenia tłumy przez policję czekały rzesze na ulicy do późnej nocy”.

Dziś to lat temu zaledwie 40. A dziś? Ilu oglądających jakąś bardziej zaskakującą sztukę iluzjonisty zaczyna się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie macza w tym palców jakaś „siła nieczysta”.

JERZY WILMAŃSKI



str. 8 odgłosy

JACEK LEBEN

MARIAN PIECHAL

ANDRZEJ BERKOWICZ



Dzieje łódzkich fortun (VIII)

W 1862 roku Dyrektor Główny Komisji Skarbu i Przychodu w ten sposób pisał do Sekretarza Rady Administracyjnej: „Według opinii w obiegach będącej, póki sam Geyer trudni się własnymi interesami, trzy mają się one jeszcze jak bądz w całości i do czasu trzymać się mogą przez zaufanie, jakie sobie dotąd zjednał. Długo to wszakże trwać nie może, a gdyby go zabrakło — wszystko co zwłóknienie upadłoby natychmiast”.

Opinia ta była krzywdząca dla synów Ludwika Geyera, zresztą fakty, które nastąpiły po śmierci Ludwika Geyera, obaliły ją zupełnie.

Byli to zaiste bardzo dzielni młodzieńcy i jeśli dotychczas tak mało o nich mówiliśmy to jedynie dlatego, że za życia Ludwika Geyera przytłaczała ich osobowość ojca, nie pozwalając im w pełni rozwinąć skrzydeł.

Jeszcze w 1866 roku starci Zgromadzenia Tkaczy po przez magistrat łódzki czynili starania u naczelnika łęczyckiego o puszczenie w ruch zasiekwestrowanych



zakładów geyerskich, ze względu na szerzące się bezrobocie. Tkaczy domagali się, by, dopóki fabryka nie zostanie sprzedana na licencję, przeszła pod administrację miasta lub rządu. Ludwik Geyer robił co mógł by nie dopuścić do tego, praktycznie bowiem oznaczało to stratę zakładów, którym poświęcił całe swoje życie. Gdy sekwestr został zdjęty i komornik Sudyrowicz, działający w imieniu Banku Polskiego i leży miejskiej wycofał swoje pretensje, uruchomiono nie które działy fabryki. Geyer nie miał pieniędzy na zakup bawełny, toteż fabryka pra-

cowała na rachunek różnych kupców i fabrykantów, na ogół na zlecenie znanego nam już Ginsberga.

W roku następnym, gdy Ludwik Geyer oddał już ster rządów w ręce synów, fabryka co prawda ruszyła całą parą, ale w dalszym ciągu na rachunek braci Ginsberga.

Wyniki roku 1869, roku śmierci Ludwika Geyera, były imponujące: fabryka zatrudniała w przedziałach 370 robotników, w drukarni 250, a wartość nowej produkcji przekroczyła już milion rubli. Oczywiście zakłady geyerskie nie kroczyły już na czele łódzkiego przemysłu. Przed nimi znajdował się Karl Scheibler, który wtedy zatrudniał już 700 robotników. W każdym razie jednak wyniki ten był dużym sukcesem, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że w 1860 roku Geyer wyprodukował towarów za 453 tys. rubli (Scheibler za 305 tys.).

Pomijając jednak zdolności synów Ludwika Geyera trzeba powiedzieć, gwoździem prawdy, że w znakomitym stopniu pomogła im... historia. Oddajmy zresztą głos panu Gustawowi Geyerowi. Właśnie tłumaczy to on całej rodzinie, która zaraz po pogrzebie Ludwika Geyera, zebrała się w jego starym kantorze.

Sa tu wszyscy spadkobiercy Ludwika Geyera. A więc synowie Ryszard, Gustaw, Emil, Eugeniusz i Cezar, dwie córki, już zamężne, Szarlotta Knoll i Amelia-Fanny Bajer, ze swoimi mężami, no, i oczywiście wdowa, pani Emilia Geyer.

Nie mówiliśmy dotychczas nie o pani Emilii Geyer, a kobieta ta zasługuje na obszerniejszą wzmiankę. W mieszkaniu państwa Kossaneckich, potomków Ludwika Geyera, oglądałem portret Emilii Geyer, robotnicy w czasie jej młodości. Nie była ładną kobietą, ale w rysach jej jest wiele starożytności i inteligencji. Już nawet z tego portretu widać, że pani Emilia miała sporo do powiedzenia w interesach swojego męża. Potwierdzają to zresztą fakty. Prowadziła ona wszystkie książki handlowe Ludwika Geyera czego on sam, jak

już wiemy, nie lubił robić. W okresie gdy Ludwik Geyer zapalił się do cukrownictwa, a zapał ten był tak silny, że zaczął prawie zupełnie zaniedbywać zakłady bawełniane, stała się ich faktycznym kierownikiem. Była to jedyna kobieta w rodzinie Geyerów, która zajmowała się interesami.

Gustaw Geyer nie jest najstarszym z synów, ma 25 lat, jest o dwa lata młodszym od Ryszarda, ale właśnie

gdy ojciec stał u progu bankructwa, wystąpił się o pracę w majątku Weillów w Gajówce w powiecie łęczyckim. Weillowie, z dawien dawna osiadli na roli kolonistów niemieccy, zatrudnili Ryszarda Geyera w charakterze radcy, Bracia, zwłaszcza Gustaw i Emil bardzo często go tam odwiedzali, może nie tyle z tęsknoty za nim co z sympatii... dla pięknych córek Weillów. Było ich cztery, trzy z nich Anna, Olga i Helena wyszły później za mąż za trzech braci Geyerów: Ryszarda, Gustawa i Emila.

Pan Gustaw mówi zwięźle, krótkimi urzwanymi zdaniem, może ze szczególnego wzruszenia, a może dlatego, że ma taki zwyczaj.

— Ojciec testamentu nie zostawił, ale wszyscy znamy jego ostatnią wolę: nie wypuszczać fabryki z rąk. Wszyscy, jak tu jesteście, dziedziczymy po ojcu. Nie

niego Cezara — by sprzedać fabrykę i podzielić każdemu gotówkę po równo. Oświadczam, że póki mego życia, nie zgodzę się na to. Tak samo Ryszard, Emil i Eugeniusz. Nasz ojciec stworzył w Łodzi przemysł i my

ni z młodych Geyerów nie został, chociaż nie wszyscy się uczyli...

Większość jednak synów Ludwika Geyera — stwierdzamy to lojalnie — uczyła się i przeszła surową szkołę życia. Zyciorysy ich są podobne, bo ojciec wychowywał ich na jedną i tę samą modłę.

A więc na przykład Emil Geyer. W Łodzi skończył szkołę realną, później ojciec zapisał go na Wyższą Szkołę we Wrocławiu. Po ukończeniu tej szkoły kazał mu iść na praktykę do pewnej fabryki włókienniczej w Bukau pod Magdeburgiem, z którą Geyer pozostawał w kontaktach handlowych. Emil pracował tam jako zwykły robotnik, za wynagrodzeniem, tyle, że przenoszono go z działu do działu, by poznać całość produkcji. Cała edukacja długo nie trwała, bo już w wieku lat 20, jeszcze za życia ojca, zaczął pracować w geyerskiej przędzalni.

Jedynie Cezar Geyer nie miał najmniejszego zamiaru pracować w firmie. Marzył o tym by zostać... ogrodnikiem. I on jeden też na tym zebraniu rodzinnym powiedział: Co za sens jest pracować na rachunek Ginsbergów, pomnażać ich miliony. Przecież jesteśmy właścicielami tylko ich płatnymi urzędnikami firmy.

Gustaw mu odpowiedział: Poczekaj, wybije i nasza godzina. A tymczasem pojedziesz do Anglii, żeby nauczyć się czegoś...

Gustaw Geyer miał rację — godzina Geyerów rzeczywiście wybiła, co prawda, musieli jeszcze poczekać 17 lat. Dopiero bowiem w 1886 roku powstało Towarzystwo Akcyjne „Ludwik Geyer”, które wypuściło 1500 akcji po tysiąc rubli, co w sumie dało półtora miliona kapitału zakładowego. Akcje zostały rozdzielone tylko wśród spadkobierców Ludwika Geyera, była to więc typowa rodzinna spółka akcyjna.

W 1886 roku Geyerzy zaczęli pracować już na własny rachunek. Rozpoczęły się teraz dla nich „złote czasy”, o których Gustaw Geyer mówił 17 lat temu.



Nadchodzą złote czasy



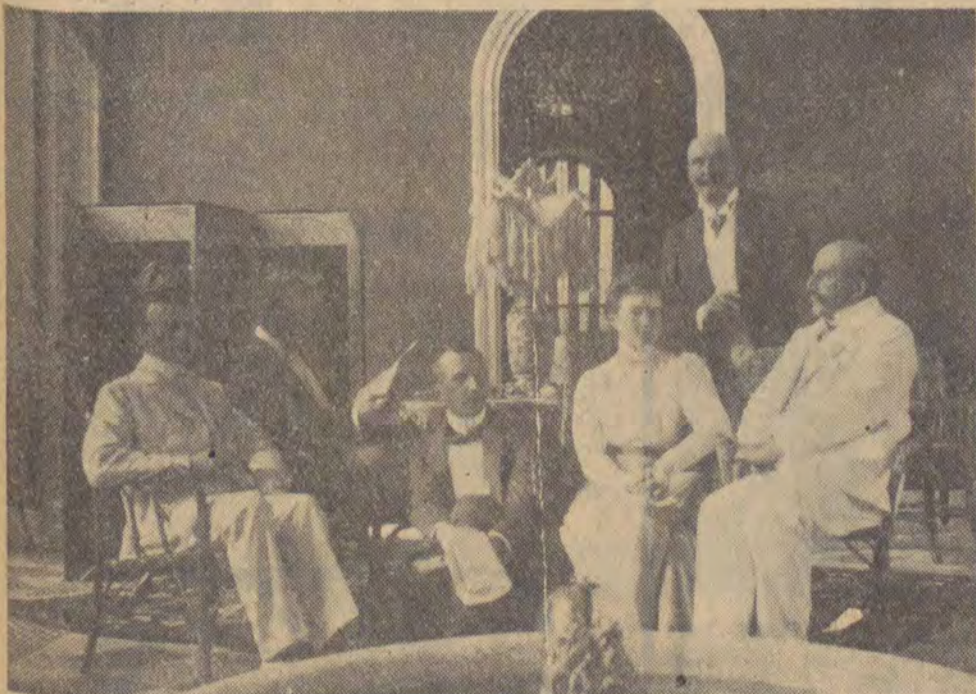
Gustaw Geyer

nie wrócił z Anglii, gdzie odbywał praktykę w Banku Friedrich Huth, zna świetnie stosunki w świecie handlowym i dlatego wszyscy czekają na to, co powie.

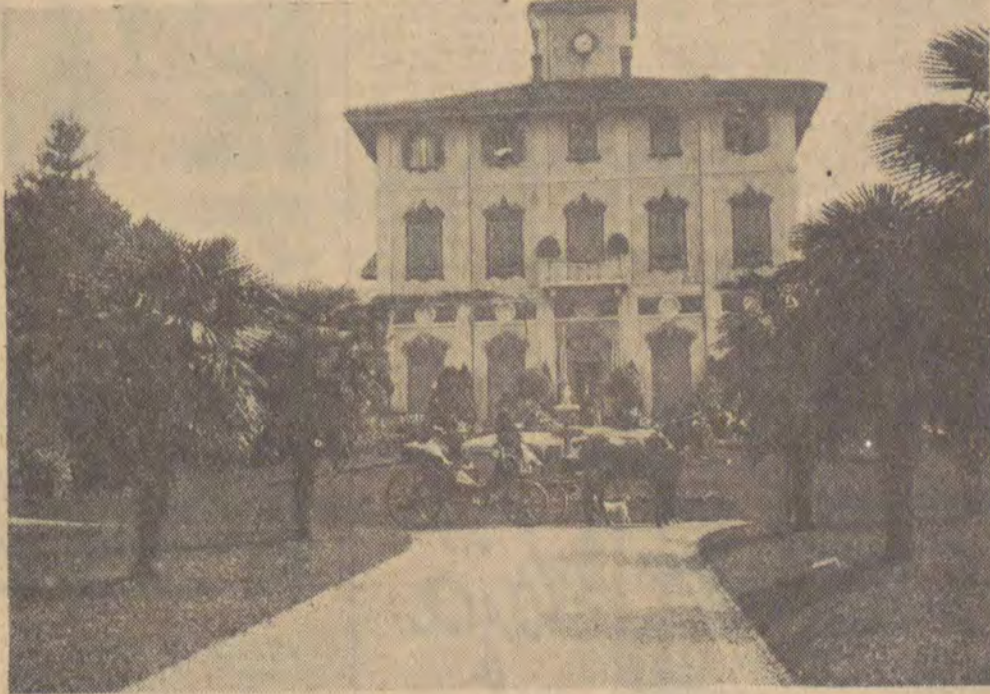
Najstarszy syn Ryszard (w ogóle najstarszym był Adolf, ale jeszcze za życia Ludwika utopił się podczas polowania na kaczki, a ponieważ był kawalerem, nie zostawił spadkobierców) nie pracował zresztą wtedy w firmie. Jeszcze w 1863 roku,

ulegał kwestii, że trzeba podzielić pozostały majątek na równe części. Ojciec przykazał też, żebyśmy przy podziale nie zapomnieli o córkach naszego nieodżałowanej pamięci, brata Ludwika, Henricie i Małgorzacie Fanny. Niewiele zostało po drogim ojcu. Wszystkie zależy od nas, od tego, co wypracujemy sami. Słyszałem głosy — tu pan Gustaw spogląda srogo, na swojego najmłodszego brata, 18-let-

Z rodzinnego albumu Geyerów



Cezar Geyer w gronie rodzinnym.



Zdjęcie z wiojaży zagranicznych

1938-1961

Z dziejów polskiej telewizji

Do 400.000 domów w Polsce w pewnych godzinach trudno się dostać i dodzwonić: dzieci nie odrabiają lekcji, ojcowie rzucają prace zleczone, panie domu porzucają najpilniejsze roboty domowe, przypalają potrawy i prasowaną bieliznę. To „Kobra” hipnotyzuje swym kolejnym widowiskiem sensacyjnym i, ostrożnie licząc, od dwóch do czterech milionów par oczu wpatruje się w migocący ekranik.

Jak to się wszystko zaczęło? Mało kto wie, że historia polskiej telewizji ma swój okres „prehistoryczny”: już w roku 1938 uruchomiono na najwyższym piętrze warszawskiego „drapacza chmur” na ówczesnym placu Napoleona (dziś hotel „Warszawa” na placu Powstańców Warszawy) eksperymentalną stację telewizyjną. Nadawała ona programy meteo-tarczy Nipkowa, czyli w sposób niezmiennie prymitywny, ale zabierała się już do przejęcia na elektroniczną analizę obrazu. Organizatorem całego przedsięwzięcia był człowiek, który w sposób aktywny uczestniczył w narodzinach polskiej radiofonii i telewizji przed i po wojnie. Mowa o profesorze Januszu Groszkowskim. Eksperyment telewizyjny zniknął bez śladu w pożodze wojennej.

W 10 lat później w Zakładzie Telewizji Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego (jeszcze później Instytutu Łączności) rozpoczęto prace doświadczalne pod kierunkiem prof. dr J. Groszkowskiego, którego współpracownikami byli inżynierowie: L. Kędzierski i T. Białowski. 15 grudnia 1951 roku otwarta została w Warszawie wystawa „Radio w walce o pokój i postęp”, na której odbywały się codzienne pokazy telewizyjne. Przez wielkie szyby i na kontrolnych odbiornikach telewizyjnych, zwiędzający mogli śledzić wszystkie wydarzenia związane z nadawaniem programu: od występu aktora przez pracę kamerzysty, realizatorów wizji i dźwięku, reżysera — aż do obrazu na ekranie telewizora. Po raz pierwszy tysiące mieszkańców naszego kraju miało możliwość zetknięcia się z telewizją.

25 października 1952 roku został nadany pierwszy eksperymentalny program półgodzinny, poświęcony wyborom do Sejmu. Sposób nadawania był skomplikowany: obraz emitowany z anteny Instytutu Łączności na Pradze i dźwięk ze średniofalowej stacji radiowej na Mokotowie. Tylko cztery programy eksperymentalne zostały nadane w 1952 roku. A od 23 stycznia 1953 nadawany był już cotygodniowy, półgodzinny program (piątki, godzina 17).

Do dobrych warunków pracy (a nawet choćby znośnych), polska telewizja nie miała i nie ma szczęścia. W Instytucie Łączności warunki pracy były groteskowo fatalne: ciasnota, tropikalny upał, prymitywne urządzenia studia i jeszcze prymitywniejsze kamery. Stroną techniczną telewizji zajmowali się inżynierowie Instytutu Łączności, a stroną programową — na prawach zaproszonych gości — pracownicy Polskiego Radia. Ten dualizm odbił się bardzo niekorzystnie na rozwoju i funkcjonowaniu polskiej telewizji.

W lecie 1954 roku telewizja przeniosła się do swej obecnej siedziby na placu Powstańców Warszawy, montując anteny na sąsiednim hotelu „Warszawa”, na którym 14 lat wcześniej znajdowała się antena pierwszej polskiej stacji telewizyjnej.

Tu także zagral nasz narodowy indywidualizm. Inne telewizje europejskie instalowały się bądź w dawnych teatrach (czeska), bądź w wytwórniach filmowych (francuska). My potrafiowaliśmy telewizję jak skarb bezcenny, instalując ją w... dawnym banku. Otwarcie „Dowiadczalnego Ośrodka Telewizyjnego” odbyło się 23



lipca 1954 roku, a od września rozpoczęto stałe nadawanie programów, których część stanowiły projekcje filmowe. W roku 1955 oddano do użytku nowoczesną aparaturę do wyświetlania filmów, importowaną z Anglii, co umożliwiło dalsze rozszerzenie programu.

Właściwy jednak start polskiej telewizji odbył się 1 maja 1956 roku. W przeddzień odbyło się uroczyste oddanie do użytku Telewizyjnego Ośrodka Transmisyjnego i nowej stacji nadawczej, mieszczącej się w Pałacu Kultury i Nauki. Jest to dzień historyczny: zasięg warszawskiej stacji zwiększył się, a możliwość nadawania programów z wielu pomieszczeń Pałacu rozszerzyła możliwości programowe, ograniczone dotąd do jednego studia na placu Powstańców. W tymże roku miało miejsce również bardzo ważne wydarzenie: 22 lipca rusza taśmowa produkcja pierwszego polskiego odbiornika telewizyjnego „Włosa”. Własna produkcja i zwiększony import odbiorników z ZSRR i NRD umożliwiła udostępnienie telewizji prywatnym odbiorcom; dotąd importowane telewizory udostępniane były głównie świetlicom i klubom.

22 lipca 1957 r. rozpoczyna nadawanie programów stacja w Łodzi, 1 maja w Poznaniu, a 4 grudnia — tradycyjnie na Barburke — w Katowicach. Stacja warszawska otrzymała całkowicie nowe wyposażenie: studia i nowoczesną aparaturę angielską, będącą ostatnim krzykiem techniki telewizyjnej. W tym samym roku przybyły wozy transmisji nie produkcyjnej, angielskiej i francuskiej, które wzbogaciły program o możliwość transmisji koncertów, przedstawień i imprez sportowych.

W roku 1958 przybyła Dolnośląska Ośrodek Telewizyjny ze studiem we Wrocławiu a stacja nadawcza na Sobótce. Ośrodek ten powstał z inicjatywy i funduszy społecznego komitetu, który zawiązał się samoradnie wśród ludności Dolnego Śląska.

Baza jest już założona. Dziś działają w Polsce stacje w: Warszawie, Katowicach, Łodzi, Poznaniu, Odessie, Wrocławiu, Bydgoszczy, Olsztynie i Szczecinie. Dzięki rozbudowie łączności istnieje możliwość transmitowania programu ogólnopolskiego i wzajemna wymiana między stacjami (np. Wrocław transmituje program Katowice). Od stycznia 1960 roku jesteśmy członkami Interwizji, czyli międzynarodowej organizacji telewizyjnej naszego obozu. Łączy telewizyjne Interwizji tworzą linie o długości 3.000 km, udostępniając program wymienny 30 stacjom telewizyjnym i około 10 milionom widzów. Dzięki rozmowom między Interwizją a drugą „międzynarodówką telewizyjną” Eurowizją i osiągnięciem w lutym 1960 roku porozumienia, Igrzyska Olimpijskie w Rzymie były transmitowane przez sieć obu organizacji.

Aby ocenić rozmiary „telemanii” w Polsce wystarczy spojrzeć na następujące zestawienie. Ilustrujące przyrost abonentów telewizyjnych. Obowiązek rejestracji telewizorów i opłacania abonamentu został wprowadzony w dniu 1 stycznia 1957 r. a na każdego 31 grudnia urzędy pocztowe podawały następujące stany abonentów:

1957	21.068
1958	84.812
1959	238.444
1960	399.870 (na 30. XI. 60 r.)

„Telemania” charakteryzuje się gwałtownymi skokami. Oto przykład: w ciągu lipca 1960 roku przybyło 7.500 nowych tele-abonentów a w ciągu następnych dwóch miesięcy — pod wpływem olimpijskich wirusów nastąpił gwałtowny skok epidemii wynoszący blisko 40 tysięcy.

Jedynym sposobem opanowania telemanii jest jej... zapożyczenie. A zaspokoić ją może tylko własna produkcja. Oto jak wyglądała ona w latach ubiegłych:

1956	2.000 sztuk odbiorników telewizyjnych
1957	16.000
1958	17.000
1959	120.000
1960	200.000

Epidemia telewizyjna nie przeszła jeszcze swego punktu kulminacyjnego. Należy się go spodziewać nie wcześniej niż około roku 1965. Wtedy może zacznie przysasać i tracić na sile, choć pełne zaspokojenie zapotrzebowania krajowego nastąpi wówczas, gdy jeden telewizor przypadnie będzie na jedną rodzinę.

Tajemnicza historia

Teatr „Kobra” nadał w okresie wakacyjnym, a potem z dużym powodzeniem powtórzył sensacyjne widowisko w/g scenariusza Joe Alexa pt. „Samolot do Londynu”.

Znów miesięcznik „Żyjący dłużej” — numer 5(13) z 1959 — roku opublikował swego czasu opowiadanie Thomasa Kyda pt. „Śledztwo” w tłumaczeniu A. Wolskiej, przy czym redakcja zaznaczyła w przypisie, iż jest to skrót opowiadania pod powyższym tytułem wydanego przez „Books” N. York.

Widowisko i opowiadanie mają następujące punkty zbieżne:

Recz dzieje się w samolocie, przy czym samolot odlata z opóźnieniem.

Morderstwo popełnione jest w trakcie lotu, podczas snu pasażerów.

Śledztwo przebiega i kończy się w trakcie lotu.

Podstawową przesłanką w prowadzeniu śledztwa jest data nabycia biletu; jeżeli morderca planował zbrodnię, musiał nabyć bilet po swojej ofercie.

Zdemaskowanie mordercy popelnia samobójstwo wyskakując bez spadochronu z samolotu.

Z drugiej strony istnieją jednak i rozbieżności: w widoku ofiara ginie od pchnięcia noża, w opowiadaniu — od uderzenia głową w metalowe okucie fotelu, przy czym nieszczęśliwy wypadek jest wykluczony. Inny jest motyw zbrodni, inne postacie biorące udział w akcji, inna osoba mordercy, inna wreszcie postać detektywa (w „Kobrze” — rzecz prosta — Joe Alex, w opowiadaniu Kyda statystyk dr One).

Tak by wyglądał stan faktyczny, wszelako dociekliwa i porządkująca myśl miłośnika „Kobry” wynajduje jeszcze jeden frapujący trop — przed nazwą wydawnictwa „Books” pismo „Żyjący dłużej” umieściło znaczący wielokropek, który mógłby świadczyć, że pierwszy człon tej nazwy został opuszczony. Jeżeli zaś został, to po co? Może sama nazwa została sflingowana? Może Thomas Kyd jest pseudonimem, a nazwisko tłumacza czystą mistyfikacją? Może Joe Alex to Thomas Kyd?

A jeżeli Joe Alex nie jest Thomasem Kydem, to czy można przypuszczać, że znał on opowiadanie Kyda? Jeżeli nie znał, skąd zbieżności? Może oba utwory mają wspólny pierwowzór np. w kronikach policyjnych?

JERZY PANASEWICZ



Warto przeczytać

Czytelnikom naszym polecamy dzisiaj dwie interesujące książki łódzkiego pisarza, Pierwsza jest tomem szkiców i reportaży o tematyce chłopskiej i nosi tytuł „Zielony Szlak”. Autorem jest Tadeusz Papier. Książkę wydało Wydawnictwo Łódzkie, cena 10 zł.



Drugą pozycją jest tom wierszy Tadeusza Chrościelewskiego, wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Twórczość tego poety znają dobrze czytelnicy czasopism literackich. W najnowszym tomie Tadeusza Chrościelewskiego pt. „Mie-

siące utajony” znajduje się również wiersze publikowane w „Odgłosach”. W dawca jest, jak się rzekło, PIW, cena 5 zł.

Zobaczcie koniecznie



Tym razem nie proponujemy naszym Czytelnikom obejrzenia wystawy plastycznej. Tym razem zachęcamy do zobaczenia sztuki Bertolda Brechta, której premiery odbyła się kilka dni temu w Teatrze Nowym.

„Operę za trzy grosze” bo o niej to właśnie możemy powiedzieć. Jakub R. baum, znany z wielu kawszych inscenizacji („B. do Fragała”, „Rewizja” kierownik artystyczny teatrów wrocławskich,

Henryk Czyż dyryguje

Parę dni temu łódzcy melomani mieli znów okazję ujrzeć przy pulpicie dyrygentem Henryka Czyża, który jak wiadomo, ostatnio poświęcił się niemal wyłącznie pracy kompozytorskiej.

Jednym z punktów programu ciekawego koncertu był — prawie zupełnie u nas

nieznany — balet-pantomim „Mandragora” Karola S. menowskiego. Utwór ten, kazał słuchaczom od razu zupełnie nieznaną możliwość twórcze wielkiego polskiego kompozytora. A my by owe dwa interesujące wieczory w Filharmonii wtóżyć?

Pamięci uczonego

Niedawno minęło 10 lat od chwili śmierci prof. dra Mariana Grotowskiego. Zmarły był jednym z najwybitniejszych specjalistów polskich w dziedzinie fizyki eksperymentalnej. Zasługi jego dla naszego miasta są ogromne, zważywszy, że prof. Grotowski był jednym z współtwórców Uniwersytetu Łódzkiego.

Kilka dni temu odbyła się w UL uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci zmarłego naukowca i pedagoga.



Dlaczego?

W związku z odyskaniem przez Polskę arrasów wawelskich energiczne i operatywne Biuro Wydawnicze „Ruch” wydało serię barwnych reprodukcji rzeczonych dzieł sztuki. Pomysł świetny, bo arras, o których się tyle przecież słyszało, oryginal! Szaleństwo to, widział mało kto. Niestety,

druga część świetnego myślu jes” jak najbardziej zwariowana. Jak informuje „Trybuna Ludu” reprodukcje na będzie można jedynie w Warszawie i Krakowie. Akurat, gdzie można obejrzeć oryginał! Szaleństwo to, metoda?

„Kobra”!



Z dziennikarskiej skrupulatności prezentujemy dwa zdjęcia z dość niedoręcznego programu „Kobra” pt. „Śmierć idzie przez pustynię”, nadanego ostatnio z Łodzi.

Na zdjęciu górnym widzimy Zbigniewa Koczanowicza i Marię Wachowiak, na dolnym Marię

Wachowiak i Bogusława Sochnackiego. Zdjęcia wykonał Lech Łyszkowski. Lech Łyszkowski wykonał również wszystkie zdjęcia z poprzedniej kolumny telewizyjnej, a nazwisko jego opuściliśmy tylko przez niedopatrzenie. Przepraszamy!



Zart rysunkowy, choćby wyspany z palca, całkowicie absurdalny — przeważnie jednak unika spieć i konfliktów dziś anachronicznych; nie ma na świecie wysp bezludnych, zanika we współczesnym społeczeństwie typ mieszczańskiej „strasznej teściowej” — humoryści muszą szukać innych tematów. Przyszła więc moda na kpinę z nowoczesnych aut, samolotów, mózgów elektronowych, robotów... A ostatnio — oczywiście! — ulubionym motywem stały się rakiety i wyprawy międzyplanetarne.

Ale — rzecz ciekawa — sam temat podróży kosmicznych, opracowany przez humorystów z różnych krajów — może ujawnić rozmaite podstawy i poglądy, charakterystyczne cechy narodowego dowcipu.

Oto humorysta brytyjski — (A. F. Wiles) — ma do współczesnej techniki stosunek na der ironiczny...

Włoch — More Al — gdy przedstawia lot rakiety na Księżyc — nie przestaje być romantykiem, srebrny glob pozostał dlań rekwiizytem z miłosnej piosenki...

Amerykanie — (J. G. Farris) — ich humor jest pełen sarkazmu, nieco katastroficzny — wyposażają dalekie światy w rekwiizyty doskonałe nam dzisiaj znane. Ujawnia się tu ich uparta wiara w niezmienną istniejących form; najlepszym tego przykładem jest zresztą cała amerykańska literatura „science-fiction”, w której wizja przyszłości zasadza się na nowej technice, lecz jednocześnie model społeczny i ustrojowy pozostaje niezmienny...

I wreszcie — humorysta francuski (Mofrey) dostrzega w pracowni uczonych kosmonautów przede wszystkim... zadek zgrabnej laborantki. Jakże typowe dla Francuzów — każdy żart w pikantnym sosie...

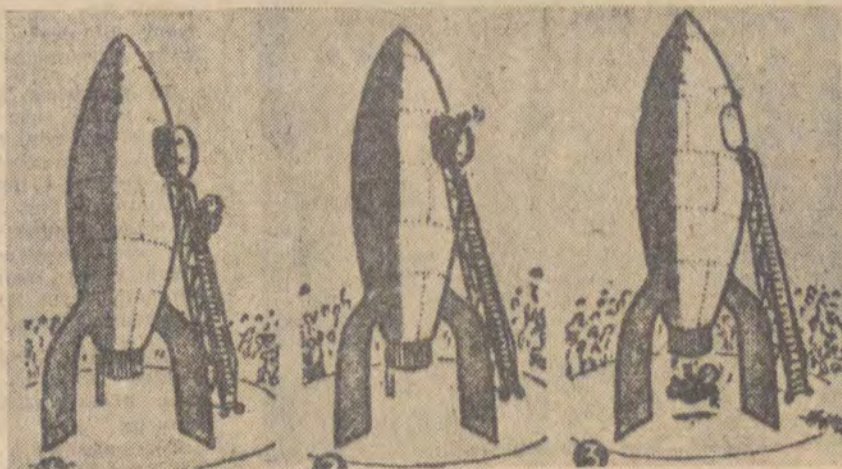


Uśmiech w kosmosie

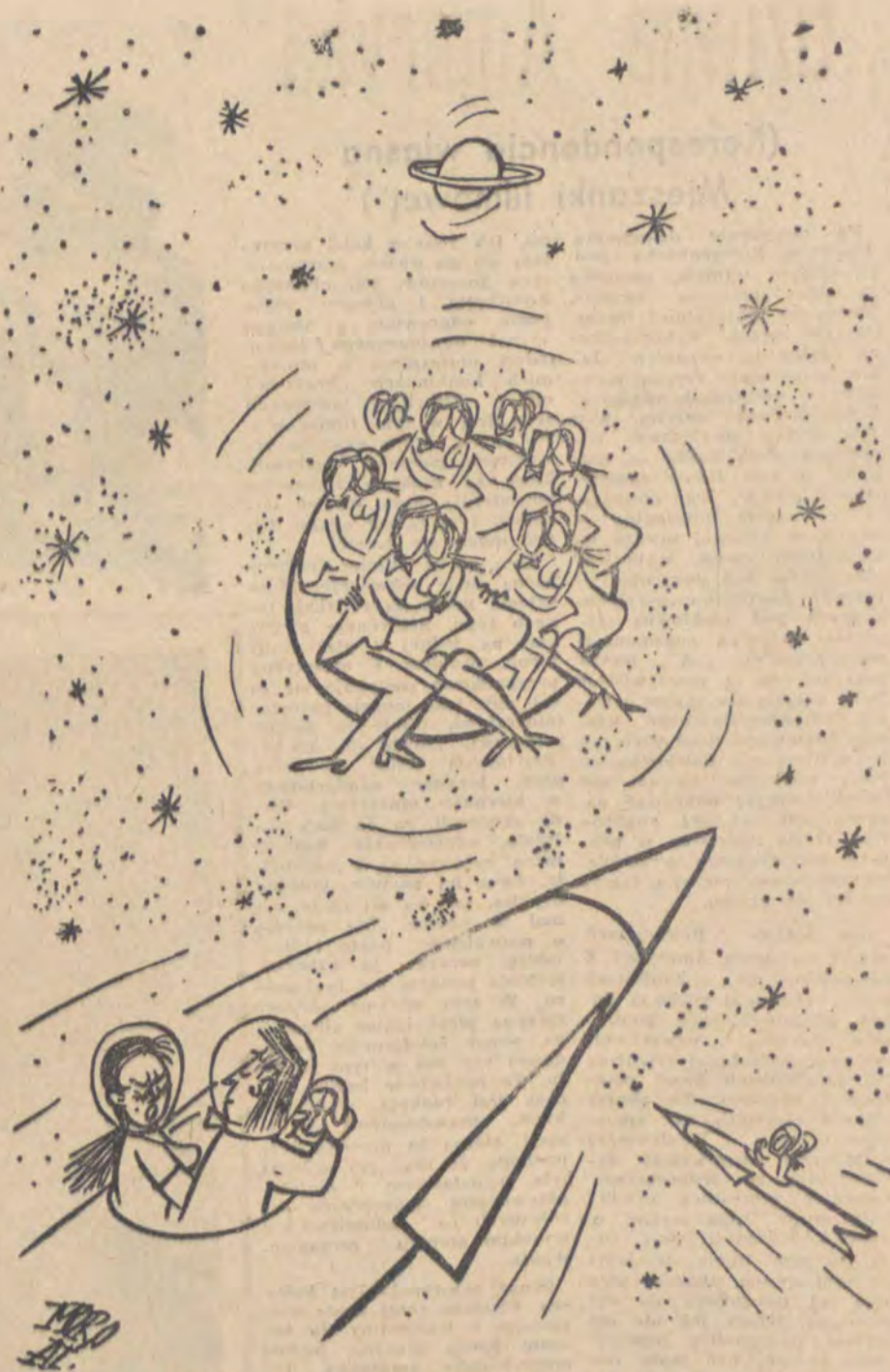


— Czy długo jeszcze mam udawać księżyc? (Rys. Mofrey)

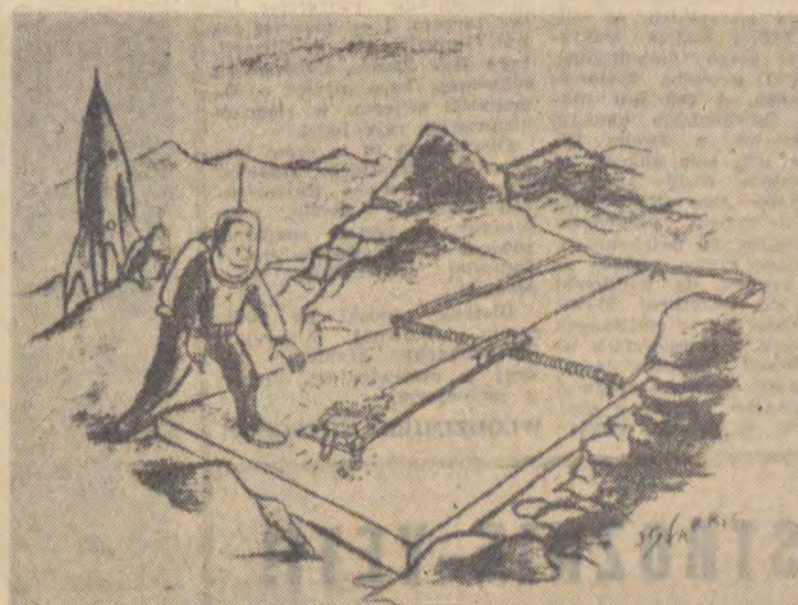
(JERT)



Bez słów (Rys. A. F. Wiles)

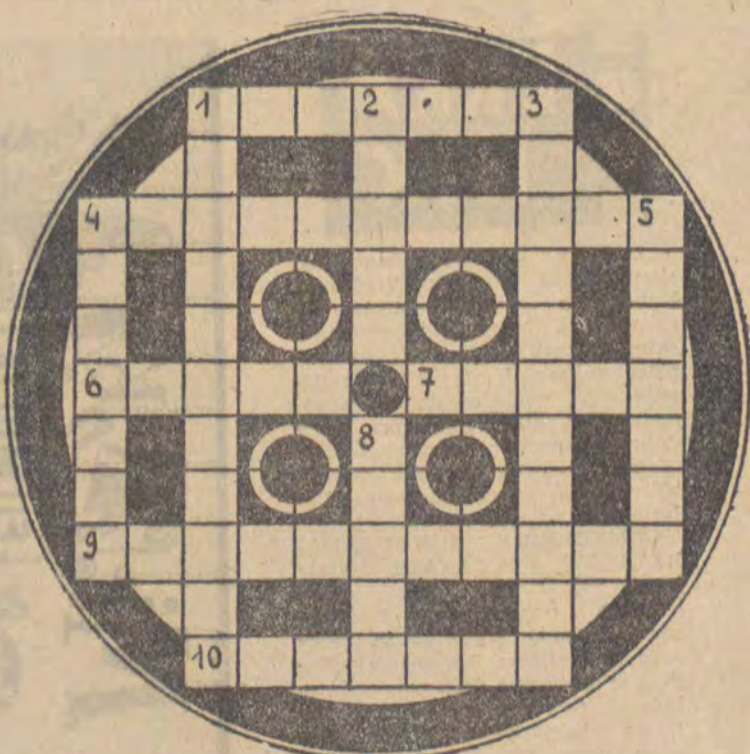


— Mówilem ci — tam już miejsca dla nas nie ma. (Rys. More Al)



Bez słów (Rys. J. G. Farris)

NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

POZIOMO — 1) Część ryby pociętej poprzecznie, 4) Krzywica, szkorbut lub beri-beri, 6) Taniec, 7) Powódź, 9) Napis na wstędze noszony w czasie pochodów, 10) Rodzaj rozrywki umysłowej.

PIONOWO — 1) Publicysta, 2) Głębia, wir, przepaść wodna, 3) Opis dźwiękowej strony jakiegokolwiek zjawiska dokonany za pomocą słów tak dobranych, by naśladowały dźwiękowy charakter tego zjawiska, 4) Kamień półszlachetny, 5) Stopa antycznego wiersza, w której po dwóch krótkich sylabach następuje jedna długa, 8) Ciemnobraunatny barwnik.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 42

Poziomo: skala, opieka, kontra, wał, urna, Olga, osad, ogar, tom, ozór, igelit, kolarz, banan, karaś.

Pionowo: kwiata, luka, broda, atom, satyr, kompromis, parafraza, tor, wat, łom, uto, arena, orzeł, zwada, lipa, kopa.

★

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Lucjan Kaczmarek, Aleksandrów k/Lodzi, ul. Ogrodowa 15.

2. Zenon Gaworski, Lódź, ul. Urzędnicza 8 m. 10.

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 244-75. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—. Redakcja nie zwraca rekopisów nie zwraca O Prenumerata przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odełosy” O Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. O Zam. 278. I. 1951 r. L-12

?

Już wkrótce
wielka
niespodzianka

odełosy str. 11

„Dziwna Ameryka“

(Korespondencja własna „Mieszanki filmowej“)

Po obejrzeniu dokumentu Francois Reichenbacha pod powyższym tytułem, opanowałam widza sprzeczne uczucia. Można je, najogólniej biorąc, streścić dwoma wykrzyknikami. Jakże to okrutne! Przede wszystkim — nie sposób odmówić Reichenbachowi zmysłu, jeśli tak można powiedzieć, filmowego. Jego kadry są niekiedy w tym filmie zdumiewająco piękne. Jego obserwacje — często niebanalne — bazują w głównej mierze na elementach ruchu, wykrywając czasem lub sugerując obecność konfliktów psychologicznych pod efektywną wizualnie warstwą codzienności amerykańskiej. A trzeba przyznać, że ta rzeczywistość kusząca, skłaniająca do zapisu własnych obserwacji, właściwie filmowa. Stąd więc tak że zastrzeżenia Reichenbacha, który stwierdza, że ani nie chciał Ameryki odkrywać na nowo, ani też jej analizować. O ile wierzymy w prawdziwość drugiego wyznania powatpiwamy raczej o faktyczność pierwszego.

Czy jednak Reichenbach odkrył na nowo Amerykę? Z pewnością nie. Zaufawszy więcej ekspansji ruchu i koloru zdumiewających kontrastów przyrody i nawet czasem przeciwieństw i cywilizacji, Reichenbach kazał przemawiać obrazom. Te obrazy właśnie powodują tak sprzeczne uczucia. Wysławiając praktycyzm amerykański, dyskretytują go jednocześnie. Ukazując szczęśliwą cywilizację grupy, każą myśleć o tragedii jednostki. Jest tutaj, w tym filmie, w jakimś pośrednim sposób, ukazany prześkok od psychologii do cybernetyki. Kiedy już nie ma miejsca na analizę przeżyć, które jeszcze, być może istnieją. Kiedy ukazuje się tylko nadawca i odbiorca. Kiedy ukazuje się mechanizm wspólnego kodu, obowiązującego we wszystkich 48 stanach. Takim kodem, traktując rzecz nieco symbolicznie, jest tutaj potrzeba życiowego sukcesu. A co jest sukcesem? Reichenbach ukazuje bez przerwy w swoim filmie nie tyle sam sukces, co jego funkcję. Każdy anonimowy bohater jego filmu, każdy, wyłączony oczywiście np. wieśniów (a Reichenbach niepokojąco często zagląda ze swoją kamerą do więzienia) cieszy się sukcesem życiowym. Pławi się w rozlicznych rozrywkach i pięknościach amerykańskiej rzeczywistości. Dwa starsi panowie obejmują wyzywające kukły z niepokojąco wypiętymi biustami.

Ich żony z kolei przytulają się do dwóch czarnowłosych amantów. Pójdź obnażone dziewczęta i chłopcy, żując gumę, odprawiają z powagą rytuał nowoczesnego tańca. Dzieci uczestniczą w olbrzymich konkursach „hoola-hoop“. Takich i podobnych scen jest w tym filmie więcej. Scen, które ukazują zewnętrzna powłokę sukcesu, które są znakiem życiowego powodzenia każą myśleć widzowi: tym to się udało! Teraz mogą się bawić!

Lecz są w filmie Reichenbacha dwie sekwencje, które skłonić mogą do refleksji innego typu. Sekwencja pierwsza: na jednej z plaż Kalifornii. Kobieta i mężczyzna przypadkowo spotykają się tu, aby, jako modele pozować fotografowi. Oboje są piękni i zdrowi. „made in USA“. Powtarzają wciąż te same poze, biegnąc uśmiechnięci w kierunku obiektywu. Kiedy skończył, co do nich należało, odpoczywają. Kobieta nieco zażenowana i nieśmiała. Lecz jej partner, potężny dryblas, tam na tej plaży, nie ma w wodzie „bez pytania o pozwolenie“ nagle i brutalnie, zaczyna ją całować. Kobieta poddaje się bez oporu. W tym miejscu speaker zaczyna pisać jakieś głupekstwo na temat solidarności zawodowej czy coś w tym rodzaju. To oczywiście bzdury. Ta para jest funkcją, wykładnikiem, sprawdzianem cywilizacji. Można by przecież przypomnieć, że tzw. gra miłosna była wynalazkiem i niejako przywilejem społeczeństw stałych, o zdumiewająco wysokim stopniu zorganizowania.

Druga sekwencja jest krótsza. Ukazano tutaj konia skaczącego z trampoliny do basenu. Konia dosiada, piękna amerykańska amazonka. Tej samej wciąż powtarzającej się sekwencji towarzyszy muzyka organowa. Potulność i dyscyplinowanie zwierzęcia są bez zarzutu. I on przecież też jest funkcją tej cywilizacji. Lecz jest bardzo samotny. Ta sekwencja każe myśleć o samotności zwierząt w zmechanizowanym raju ludzi.

Obowiązują tu te same wzory dla wszystkich. Obowiązują jeden wzór. Kartezjańska formuła: „myślę, więc jestem“ — została sparafrazowana i przemieniona się w formułę: „Naśladowuję, więc jestem“.

Dlatego wnioski po obejrzeniu „Dziwny Ameryki“ Reichenbacha graniczą raczej z przerażeniem, aniżeli z zachwytem.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI



Morpessa Dawn — bohaterka uroczego filmu Marcel Camusa „Czarny Orfeusz“.

„Dziewiąty krąg“

Dramat młodej żydowskiej dziewczyny i jej ukochanego nawiązuje tematycznie do owego nurtu kinematografii europejskiej, który zapoczątkowało dzieło Wandy Jakubowskiej „Ostani etap“, a kontynuują takie filmy jak „Gwiazdy“ — Wolfa i „Romeo, Julia i ciemność“ — Weissa; nurtu ukazującego martyrologię narodów podbitych przez fałszyżym.

Swoją rolę reżyser Stigle rozegrał w niewielkiej grupie ludzi mieszkających Zagrzebia. Dzięki wybraniu tylko jednego, zasadniczego wątku fabularnego, mógł on z powodzeniem wyeksponować na czoło dramat jednostki i dać wyraźny rysunek psychologiczny głównych bohaterów.

Ruth i Ivo to prawie jeszcze dzieci. Dla ratowania przed obozem i śmiercią młodej dziewczyny, pod wpływem swego ojca, Ivo godzi się na formalne małżeństwo ale nie kocha Ruth — swej przybranej żony. Nie kryje się z tym ani przed samą dziewczyną, ani też przed rodzicami i kolegami. Dziewczyna jest zupełnie samotna, w obcym domu boleśnie przeżywa tę sytuację. Nienawidzi i okrucieństwo zwyrodniałych i co gorsza rodzimych faszystów chorwackich — ustaszków, zmuszających młodego chłopaka do refleksji, do rozcięcia nad dziewczyną opieki, która przez kształca się w prawdziwe uczucie. Rodzi się między młodymi miłość — używając patetycznego określenia — na śmierć i życie, trwająca nawet w owym dantejskim dziewiątym kręgu obozowym.

Reżyser i młodzi aktorzy przekazali te treści przy użyciu prostych i oszczędnych środków, bez zbędnych a narzucających się w takim wypadku — akcentów melodramatycznych. Uwagę reżysera uszły niestety postacie irrogoplanowe i epizodyczne. I tak: postać matki jest zupełnie niefortunnie potraktowana marginalnie, zaś rola młodego faszysty jugosłowiańskiego wydaje się być zbyt jednostronna i schematyczna, orientujemy się od razu, iż mamy do czynienia z typowym „szwarc-charakterem“.

Te potknięcia nie umniejszają jednak sukcesu reżysera i aktorów, tym bardziej, że odtwórcy głównych ról: Dusica Zegarac i Boris Dvornik debiutują w tym filmie. Sympatyczna i młodziutka Zegarac jest jeszcze uczennicą liceum i jak oświadczyła — jej najbliższym celem jest uzyskanie „matury“.

„Dziewiąty krąg“ wzrusza i skłania do refleksji, do czujności przed faszyzmem i rasizmem; jest dokumentem „epoki pleców“ i jednocześnie dramatem o zwykłych ludziach, ich życiu i uczuciach.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

OSTROŻNIE-YETI!

Powstał ten film na zasadzie niebanalnego pomysłu: z przesyłki lotniczej ginie egzemplarz tajemniczego Yeti, dziwny stworzenie krąży po Warszawie. I oto na konto jego, jego wybryków, zwałają winę za własne przeszkli przeróżni walkonie, wydrwigrosze, łobuzy, złodzieje...

Ponadto mamy w tym filmie paręset (tak!) pomysłów, tzw. gagów. I tu zaczyna się nieszczeście. Za dużo ich, starczyłoby już nie tylko na trzy filmy, ale jeszcze na parę monologów, kilka humoresek, kilkanaście skeczów i dobrą sętkę żartów rysunkowych. Wszystko razem, wymieszane w jednym filmie — tworzy melań zupełnie niestrawny. Tworzy — jeśli się już trzymamy określeń kulinarnych — zwyczajną chałę.

Dobre gagi giną zupełnie w lawinie dowcipów z tandetnej operetki, świeże pomysły sytuacyjne nie mają czasu wybrzmieć, przytłoczone gadulstwem. Nieustanne bombardowanie widza gagami przypomina serię z karabinu maszynowego, ale w tym wypadku lepsze rezultaty osiąga zazwyczaj dobry snajper. Dramaturgia karabinu maszynowego nie wyręczy prawdziwej dramaturgii, nie zastąpi pracy z aktorem, nie pokryje kłactwa montażu i chałturnej muzyki. Zwłaszcza, gdy się podejmuje gatunek groteski absurdałnej, do tej formy wszyscyśmy jeszcze niezbyt nawykli — tu trzeba każdy gag matematycznie wylczyć, powoli — lecz do końca rozegrać. Jako właśnie czyni przeświety Jacques Tati.

Był szanse, by wyszedł z kapitalnego pomysłu dobry film, gdyby w porę — już w czasie zdjęć — pomyślano o jakiejś selekcji. Tymczasem odnosi się wrażenie, że spisawszy na karteczki pewną ilość gagów — reżyser poprosił znajomego z przeciwka: „idź pan trochę poręzyserować, tylko niczego z kartki nie wolno pominąć“. To chyba niedobrze się stało, że reżyser Andrzej Czekalski kręcił film według scenariusza Andrzeja Czekalskiego.

MAK.



EKRANIK

„LOLITA“ — równie sławna, co skandaliczna powieść Władimira Nabokova — doczekała się już ekranizacji. Mimo ciężej purytańskiej cenzury — film zdobywa ogromną kasę. I od razu — pojawiły się... naśladownictwa. Francuski film, który atmosfera skądal przypomina mocno „Lolite“ — nosi tytuł „Czerwone wargi“, główną rolę gra w nim Jeanne Valérie (na zdjęciu obok).

OSIĄGNIĘCIA DOKUMENTARZYSTÓW POLSKICH stały się już dla nas nieco chlebem powszednim. Najnowsze rewelacje WFD — to nowy film Kazimierza Karabasza „Ludzie w drodze“ o dniu powszednim ludzi z pewnego cyrku, oraz Janusza Majewskiego „Mały“, film wymierzony przeciw alkoholizmowi, smutna historia chłopca — zbieracza... pustych butelek.

